

AZERO

BIULETYN INFORMACYJNO-PROPAGANDOWY KW WARSZAWA

www.kw.warszawa.pl

1(13)/2007
bezpłatny

ISSN 1641-9359



TRYPTYK HIMALAJSKI

wspomnienia znad kawy

Tekst i zdjęcia: **Piotr Morawski**

Siedzę na fotelu wpatrzony w gęstą mgłę za oknem i popijam kawę. Czekam na śnieg. Kiedyś w końcu przyjdzie, przecież już niedługo zima. Przed oczami mam jeszcze sporo obrazków z naszego projektu, który pod wieloma względami zmienił moje życie. A przede wszystkim był naprawdę wspaniałą imprezą, która pokazała, że przyjaźń, towarzysze i dobra atmosfera to podstawa każdej wyprawy.

Projekt powstał w oparciu o plany ukończenia Korony Himalajów przez Piotra Pustelnika. Brakowało mu Annapurny i Broad Peaku. Dwie szczególne góry: Annapurna, która przez dwa lata z rzędu odpierała ataki na drodze Bonningtona i Broad Peak – góra fatum.

Po nieudanej próbie ataku szczytowym na drodze Bonningtona w ubiegłym roku, kiedy to Annapurna wysłała z nas wszystkie siły, w tym roku zdecydowaliśmy się pójść z innej strony – przez grań wschodnią. Droga zrobiona do wierzchołka tylko dwa razy, przepiękna grań ponad siedmiokilometrowej długości. Cudo. Na Broad Peaku początkowo chcieliśmy iść nową drogą, po uprzednim założeniu obozów na drodze normalnej.

Niewiele czasu zajęło nam wymyślenie Cho Oyu, jako pierwszej góry, na którą uderzymy. Popularny, komercyjny wierzchołek miał nam posłużyć za pole do treningu i aklimatyzacji. Tak narodził się Tryptyk Himalajski.

Kogo by tu jeszcze zabrać? Pierwszego mebla wysłaliśmy do Petera Hamora ze Słowacji, uczestnika wyprawy Piotra Pustelnika na Annapurnę w 2004 roku. Peter zgodził się ochoczo i tak narodził się zespół, który ochrzciliśmy Tres Pedros del Himalaya. Idealne uzupełnienie do Tryptyku.

Na Cho Oyu i Annapurnę pojechał jeszcze z nami Don Bowie. Przystojniak z Kalifornii, Kanadyjczyk z urodzenia, kiedyś milioner, potem bankrut, obecnie ratownik górski i osoba świeżo zachłyśnięta górami wysokimi. W 2005 roku pomagał Piotrowi Pustelnikowi sprowadzać z przełęczy na 7900 Artura Hajzera ze złamaną nogą i owa

akcja ratunkowa dała początek znajomości. Na Cho Oyu towarzyszył nam jeszcze Sławek Lachowski, a na Broad Peaku Kinga Baranowska i Andrzej Rusowicz.

Już od początku było widać, że będzie dobrze. Uśmiech nie schodził z naszych twarzy. Żartowaliśmy, szydziliśmy, wyśmiewaliśmy wszystko, przy okazji napierając do góry. Pod Cho Oyu wylądowaliśmy dosyć wcześnie, jeszcze walczyliśmy z resztkami zimowych wiatrów. Chcieliśmy zdążyć przed tłu-

mem, który coraz większą falą zalewa podnóża tej góry i udało nam się. Mieliliśmy całą górę dla siebie.

23 kwietnia wyruszamy z Donem z obozu II (około 7100) w kierunku wierzchołka.

Niestety nie jesteśmy w stanie przebić się w kierunku szczytu. Idziemy innym wariantem, z dala od drogi normalnej i na wysokości 7800 m napotykamy barierę skalną, która zmusza nas do odwrotu. 24 kwietnia wyruszamy na wierzchołek całą czwórką. Don zawraca na 7400 z powodu przemrożonych palców u nóg, Piotr z wysokości 8000. Wczesnym popołudniem stajemy z Peterem na wierzchołku i podziwiamy chowający się za chmurami Everest. Niestety osobno. Bo wierzchołek Cho Oyu jest wielkości lotniska i łatwo na nim się zgubić. I właśnie się zgubiliśmy z Peterem. Odnajdujemy się dopiero podczas zejścia.

Zakończyła się pierwsza faza projektu. Wracamy do Katmandu dobrze zaaklimatyzowani, w świetnych humorach, można nawet rzec: wypoczęci. Dalej szybki trans-

port do Sanktuarium i jesteśmy pod południową ścianą Annapurny. Z nami dwóch Tybetańczyków i ich nepalski pomocnik. Początkowo tylko dopisani do naszego permitu, potem decydują się iść razem z nami na wschodnią grań. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka i ich przyjęliśmy. Sporo już było o tych wyprawach, zatem dodam tylko kilka słów. Idziemy w lekkim stylu alpejskim, jak to nazywamy z przekąsem. Plecaki wyładowane do granic wytrzymałości, z lekkością mają niewiele wspólnego. Niestety w tych plecakach jedzenia tylko na tydzień, bo na tyle zaplanowaliśmy akcję. Oczywiście góra uparcie nas powstrzymywała – to spadł śnieg, to lodowiec nie do przejścia, to drugi lodowiec, którego nie powinno być. Po tygodniu docieramy do grani na wysokości około 7000 m. Przed nami optymistyczne



Podpis



Podpis

trzy dni akcji do wierzchołka, na które decydujemy się iść bez jedzenia. Ot, kiedyś ułani z szabłami na czołgi, to my nie damy rady?

Don zachorował jeszcze pod granią i zawrócił, z Tybetańczyków został tylko Lotse, któremu do Korony brakowało tylko dwóch ośmiotysięczników. Wchodzimy zatem w czterech na grań – Tres Pedros i Lotse. Trzeci dzień na grani to atak szczytowy – 21 maja. Bez jedzenia, ale z trzema wierzchołkami Annapurny przed oczami. Lotse niestety dostaje ślepoty śnieżnej, o czym dowiadujemy się dopiero wieczorem. Jesteśmy na około 8000 metrów z Piotrem, daleko poza wierzchołkiem wschodnim. Peter wyruszył już w stronę głównego wierzchołka. Nie ma radia i nie wie, co się z nami dzieje. Co robić? Zawracamy i modlimy się, by świt zastał nas dopiero w namiocie. Bo z gwałtownie puchnącymi oczami

Lotse nie zrobi ani kroku w ciągu dnia. Udać się. O godzinie 5 rano zalegliśmy totalnie wyczerpani na karimatach. W południe dobija do nas Peter. Był na wierzchołku głównym. Jest totalnie wyczerpany, więc zsyłamy go na dół i zostajemy ze ślepym Lotse.

Mijają dwa dni. To już prawie tydzień bez jedzenia. Leżymy w naszym namiocie i staje się jasne, że nikt do nas nie dobije z linami i jedzeniem. Lotse może już iść. Pod nogami 3 kilometry lufy, grań stroma. Uda się dojść do biwaku na 7000 bez szwanku. Jeszcze dzień i jesteśmy w bazie!

Nie wiem, czy w moim życiu były podobne momenty do tego na grani. Bez jedzenia, wyczerpani, czekaliśmy, nie wiem na co.

Nie miałem siły pisać???, a jednak ludziliśmy się ponownym wyjściem na szczyt. A potem musieliśmy wziąć się w garść i zejść



Podpis

razem z Lotse. Sprawdzian? Może. Ale na pewno narodziny przyjaźni i umocnienie wiary w idee. Do tego w pięknych okolicznościach przyrody... ten tego, niesamowitej...

Wracamy do kraju na dwa tygodnie. Musimy trochę wypocząć i przeładować bagaże do trzeciej części. Do Pakistanu lecimy ubożsi o Dona, ale wzbogaceni o Kingę i Andrzeja. Kilka dni na lodowcu Baltoro i jesteśmy w bazie. Ładujemy nasze plecaki tradycyjnym bagażem (namioty na rozbiecie trzech obozów, jedzenie tym razem na dwa tygodnie, sprzęt i kupa innych rzeczy) i przemy do góry. Tres Pedros dobrze zaaklimatyzowani, ale Kinga z Andrzejem zbyt w tyle nie zostają. Pierwszy dzień do jedyńki, drugi do dwójki, dzień w dwójce i czwartego dnia w trójce. Kinga z Andrzejem zostają niżej, by jednak się zaaklimatyzować, a trzech Pio-

trów postanawia iść do góry. Ósmego lipca opuszczamy obóz trzeci (pewnie coś około 7000 m) i idziemy do góry. Przed południem wychodzimy na przełęcz i ...

Spotykamy wyczerpanego Austriaka na grani. Jego towarzysz umarł z wyczerpania pod wierzchołkiem. Piotr załamuje ręce, jest tutaj czwarty raz i czwarty wypadek. Jak nie nazwać tego przeznaczeniem? Po krótkiej, acz treściwej dyskusji dochodzimy do wniosku, że dwóch może pójść w kierunku szczytu, a jeden sprowadzi Seppa (czyli owego Austriaka) z przełęczy na dół. Po drugiej części dyskusji rola sprowadzającego przypada mnie – Piotr jest tu czwarty raz, Peter ma być pierwszym Słowakiem na Broad Peak, a ja jestem najmłodszy.

Wieczorem spotykamy się z powrotem w trójce. Piotr i Peter weszli na szczyt, Au-

striak ma się dużo lepiej, tylko humory nam padły zupełnie. Myślę sobie, że to fatum i chcę iść na dół. Kinga i Piotr pogadali wieczorem ze mną i zasypiam pełen wątpliwości. Po to, by obudzić się koło 1-szej w nocy, ubrać i wyjść. W południe 9 lipca jestem na wierzchołku. Szkoda, że w takich okolicznościach.

Schodzimy wszyscy do bazy. Patrzymy na ścianę i wiemy, że nie pójdziemy na nową drogę. A lato tego roku jest gorące. Rzeki płyną po śniegu, kamienie wałają z każdej części ściany. Dla nas oznacza to koniec ponad cztero-miesięcznej wyprawy. Jeszcze Kinga i Andrzej. Po załamaniu pogodowym ponownie ruszają do góry razem z Baskami Gorrim i Robertem oraz Izą, towarzyszącą im Hiszpanką. Andrzej z powodu choroby wycofuje się z akcji. Do ataku na szczyt rusza zatem czwórka polsko-baskijsko-hiszpańska. Mnóstwo śniegu i mnóstwo torowania. Gorri zmęczony zawraca. Na wierzchołek dociera Kinga, Iza



i Robert. Dzień później Gorri odzyskuje siły i także wchodzi.

Tryptyk dobiegł końca. Cztery i pół miesiąca gór, trzy różne od siebie krainy i ludzie. Przede wszystkim ludzie, którzy tworzyli całą ekipę i dzięki którym ta wyprawa nie byłaby tak niesamowita. I którym serdecznie dziękuję za wszystko.

Oczywiście także podziękowania dla sponsorów, dzięki którym mogliśmy pojechać, a są to sponsorzy tytularni: mBank, Lotto oraz sponsorzy Compensa, Accenture, Marmot, Roberts, HiMountain, Skarbiec, Energizer, za łączność odpowiedzialny był Plus GSM, dodatkowo wspierali nas: Travellunch, hurtownia Fatra, Profilab, a o oprawę medialną dbali: N.P.M. Gazeta Wyborcza, Voyage, Radio PiN, onet.pl. Organizatorem był Akademicki Klub Górski, a patronat sportowy objął PZA.

www.piotrmarawski.com



Makalu 2006

– zapiski z wyprawy

Anna Czerwińska

MAKALU 2006

3 – 14 kwietnia

Odbywamy aklimatyzację stopniowo idąc coraz wyżej w kierunku bazy pod Everestem. Staramy się nie forsować zbyt szybkiego tempa, aby organizmy miały czas dostosować się do mniejszej zawartości tlenu w powietrzu. 9 kwietnia stajemy na szczycie Kalla Pattar (5530 m.) skąd mamy piękny widok na Everest, Lhotse i Nuptse. Dzień później odwiedzimy bazę pod Pumori (5400m.). Ponieważ przez cały czas czujemy się dobrze, mimo bardzo zimnych nocy i nie najlepszej pogody zakładamy, że aklimatyzacja jest wystarczająca.

15 kwietnia

Czekamy na przylot helikoptera, którym mamy jutro polecieć do bazy pod Maka-

lu. Helikopter przylatuje późnym popołudniem. Sprawnie ląduje. Wygląda niestety nie najlepiej, a kiedy jeszcze mechanik zaczyna rozbierać mechanizm wirnika i co chwilę wypadają mu jakieś śruby czuje, że chyba nie odważy się polecieć.

Aby helikopter mógł dolecieć do bazy na wysokości 4800 m. piloci muszą znacznie go odciążyć. Demontują fotele i spuszczaają prawie pół tony paliwa. Jutro lecimy tylko z naszymi bagażami a reszta zostanie zabrana drugim kursem.

16 kwietnia

... helikopter robi szeroka pętlę i siada na płaskim, miejscami zasłanym wielkimi głazami miejscu bazy. Pilot nie wyłącza silnika. Szybko wyładowujemy cały bagaż, pilot

Żeby polecieć wyżej trzeba odciążyć helikopter. Fot. J. Natkański.



Lhotse i Everest z przełęczy Makalu. Fot. J. Natkański.



Bariera seraków w pobliżu obozu 1. Fot. J. Natkański.

macha na pożegnanie, po chwili helikopter odrywa się od ziemi i znika zakrętem doliny. Powraca po godzinie z drugim transportem. W bazie spotykamy Włochów. Jest Wielkanoc, dzieli się z nami jajkami i ciastem. Pierwsze lody zostają przełamane.

17 kwietnia

Podchodzimy lodowcem Barun do górnej bazy położonej na wysokości 5600 m. Marsz zajmuje nam dziesięć godzin.

18 – 23 kwietnia

Wielki opad śniegu odciął nas w górnej bazie. Większość ładunków utknęła na dole, gdyż tragarze nie mogą pokonać zawałone-

go śniegiem lodowca. Nie mamy żywności ani sprzętu. Jest strasznie zimno.

24 kwietnia

Dzień puji, czyli ceremonii tybetańskiej mającej zapewnić wspinaczom przychylność Góry. Jeden z Szerpów jest Lamą. Odczytuje modlitwy, zapala kadzidła w zbudowanym specjalnie czortenie (rodzaj ołtarza). Poświęca też położony w pobliżu sprzęt wspinaczkowy. Jeszcze dzisiaj chcemy rozbić wyniesiony poprzednio namiot i przespać noc na 6000 m.

25 kwietnia

Razem z naszym Szerpą Tsiringiem ruszamy do góry, aby założyć obóz pierwszy.

Droga nie jest trudna. W psującej się pogodzie dochodzimy do 6400m. rąbiemy platformę. Tsiring schodzi do bazy, mocujemy namiot i ponieważ wiatr jest coraz silniejszy, chowamy się do środka.

27 kwietnia

Wracamy do bazy. Mamy nadzieję, że namiot nie pofrunie. Umocowaliśmy go bardzo dobrze, ale stoi na otwartej przestrzeni a uderzenia wiatru są potężne.

2 maja

Włosi rozpoczęli rekonesans kuluaru. Planujemy przenieść nasz namiot z obozu pierwszego jeszcze wyżej na 6600 m. – w zejściu łatwiej będzie do niego trafić przy złej pogodzie.

7 – 8 maja

Kuluar wreszcie zaporęczowany dzięki wspólnej pracy - nas wszystkich i alpinistów i Szerpów. Tsiring wykonał masę pracy i inni Szerpowie teraz patrzą na niego z uznaniem (poprzednio traktowali go lekceważąco z racji młodego wieku - 21 lat.) Wieczorem wszyscy schodzą od bazy, ja postanawiam zostać przez noc w „jedynce”.

13 maja

Docieramy na wysokość obozu drugiego. Lekko oszołomieni wysokością z trudem rozbijamy nasz namiot w zagłębieniu terenu. Ponieważ przełęcz jest wyjątkowo wietrznym miejscem mocujemy odciągi jak tylko się da – nawet do resztek starych namiotów, które w kilku miejscach wysta-

Na poręczowce. Fot. J. Natkański.





Puja. Fot. J. Natkański.

ją z lodu. Po rozbiciu namiotów szybko ruszamy dół. W kuluarze spotykamy Włochów idących do góry. Chcą założyć obóz na przełęczy i przespać noc, a następnego dnia ruszyć do „trójki”. Zostaję w „jedynce” wymęczona wczorajszą akcją. Tsiring zbiega do bazy.

14 maja

W nocy wichura i spory opad śniegu. Schodząc do bazy na uskoku lodowca wyrwam poręczówki spod warstwy nawianego śniegu i nagle całe zbocze wali mi się na głowę. Nie ma gdzie uciekać! Owijam liną ręce i kładę się na zboczu. Śnieg przewala się przeze mnie i sunie w dół formując na dnie doliny spore lawinisko. Wygrałam !!!

15 – 17 maja

Kiepska pogoda, czekamy w bazie. Mam spore obawy o Włochów. Nie ma z nimi łączności. Na szczęście wieczorem wracają, założyli obóz trzeci mówią, że wyżej jest dużo śniegu.

20 maja

W bazie gorączka przed atakiem. Ostatnie plany i uzgodnienia. Wygląda na to, że pójdziemy jutro wszyscy – kto dotrze do szczytu niewiadomo.

Zakładałam użycie tlenu już przed wyprawą. Makalu jest wysokim 8 – tysięcznikiem i obawiałam się, że z nisko położonego obozu trzeciego mogę nie dać rady osiągnąć szczytu.

23 maja

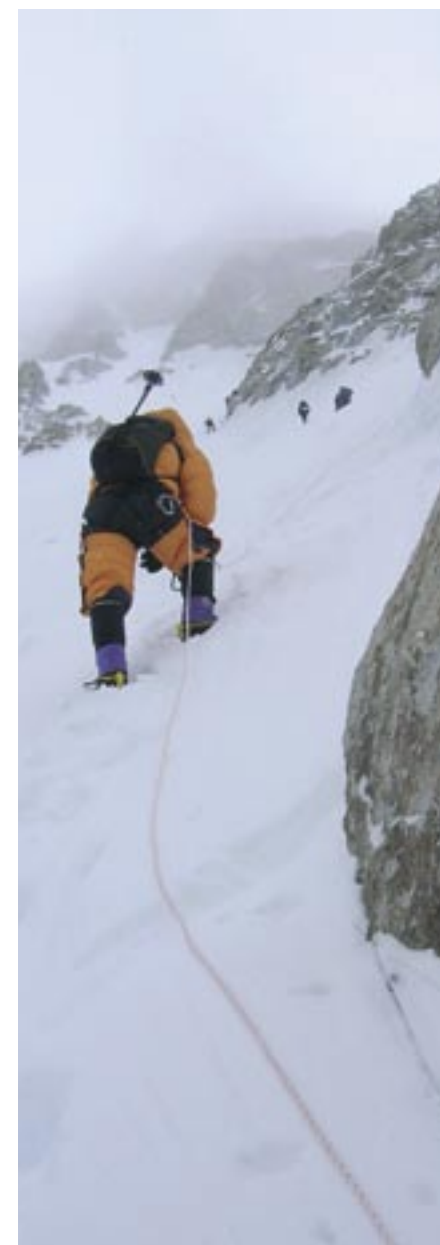
Przenosimy obóz drugi na miejsce obozu trzeciego (7600m.). Zwijamy namiot, pakujemy wszystko, oczywiście jest strasznie ciężko, ale nie mamy wyjścia. Na szczęście droga jest przetworowana. Pogoda wyjątkowo piękna i bezwietrzna - Monsun daje nam szansę.

24 maja

Szerpowie wychodzą około 3.00 w nocy - mają za zadanie zaporęczyć trawers seraków wiszącego lodowca, który oddziela nas od skał kopuły szczytowej. My grzebiemy się trochę i kiedy ostatecznie opuszczamy namiot jest już prawie piąta. Widzimy idących przed nami Włochów. Ostatni są blisko nas ale ci, którzy wyszli najwcześniej trawersują już seraki. Nie włączając jeszcze tlenu gnam do góry. Warunki są bardzo dobre, nie trzeba torować, ślady wyraźnie widoczne. Po dwóch godzinach od wyjścia z obozu docho-
dzę do seraków. Włączam tlen.

Dalsza droga prowadzi stromym lodowym zboczem, skały widoczne w górze zbliżają się wolno. Idę niewyraźnymi śladami, które w pewnym momencie ostro skręcają w lewo na skalną grzędę. Jest stromo. Maska ogranicza mi widoczność, przy dużym wysiłku nie wystarcza mi powietrza i po prostu duszę się. Co chwila muszę ściągać maskę. Do diabła z tlenem! Zakręcam reduktor a maskę zsuwam na szyję.

Docieram do litych pomarańczowych skał. Zaczynają pojawiać się stare poprzecierane poręczówki. Naprawiam co mogę, bo przecież tędy będę wracać. Z góry ktoś schodzi. Poznaję Tsiringa, idzie z dwoma Włochami. Pyta, czemu nie wracam. – Do szczytu jeszcze 4 -5 godzin – mówi Tsiring



W kuluarze pod przełęczą Makalu. Fot. J. Natkański.



Zwijanie obozu 1. Fot. A.Czerwińska.

chcąc namówić mnie do zejścia. Słyszę swoją odpowiedź: zabiwakuję! Przeczekam noc i jutro wejść na szczyt.

Stare poręczówki prowadzą w prawo i kończą się w białej w szczelinie śnieżnej szabli. Idę dalej goniąc uciekających przede mną Włochów. Dwaj inni już schodzą mijam się z nimi na skalnym filarku mówią, że byli na szczycie i, że to jeszcze kawał drogi. Ale idący przede mną wciąż się wspinają.

Idę wciąż w górę aż nadchodzący zmrok ostrzega mnie, że trzeba szukać miejsca na biwak. Jestem na wysokości 8250 m. n.p.m.

Udaje mi się tylko wygrzebać niezbyt głęboki grajdoł na stromym śnieżnym polu. Wrzucam do niego plecak i nie zdejmując raków siadam na nim. Wiem, że na biwaku

nie mogę zasnąć. Trochę po 20.00 przechodzą koło mnie Włosi, których tak zaciekle goniłam. Wracają ze szczytu. Patrzą na mnie siedzącą na śniegu ze współczuciem i obawą. Obawą, czy przeżyję?. A może czy nie poproszę ich o pomoc? Po chwili ruszają w dół. Otacza mnie już tylko ciemność.

9 godz. biwaku – trudna próba wytrwania i przetrwania. Oprócz kombinezonu nie mam nic. Około północy w dole zaczyna się błyskać. Bezgłośnie wyładowania zaczynają rozświetlać nieznane mi doliny, chwilami robi się zupełnie jasno. Mam świadomość zagrożenia i postanawiam, że jeśli burza uniesie się i obejmie mnie to muszę znaleźć siły i schodzić za wszelką cenę, ale burza pozostaje na dole

Robi się coraz zimniej wewnątrz kombinezonu pokrywa się lodem. Podczas biwaku nie korzystam z tlenu mimo, że prawie w połowie napełniona butla jest tuż obok boję się, że wdychając lodowate powietrze wzbogacone równie lodowatym tlenem odmrozę sobie płuca. Oddychając przez osłaniającą usta chustkę i brzeg kaptura czuję się lepiej.

Przed piątą rozjaśnia się. Śnieg i skały zaczynają nabierać barw. O 5.30 ruszam do góry. Tlen zostawiam na biwaku.

To nie jest dla mnie łatwa droga, kruche skały lód ekspozycja, zdaję sobie sprawę z podjętego ryzyka. Jestem zupełnie sama i świadomość każdego błędu trzyma mnie za gardło jak stryczek.

Grań szczytowa nie daje mi nic, poza fantastycznymi widokami, których nawet nie umiem wykorzystać. Śnieżne twory, dzieło szalejących wiatrów przypominają mi Karakonosze. Prowadzą mnie ślady Włochów. Nadal jest jednak daleko. Jedno, drugie wzniesienie, teraz śnieżna turnia gdzie wczoraj wieczorem widziałam ludzi, ale to jeszcze nie szczyt. Przede mną kolejny wierzchołek.

Jak w transie pokonuje kolejne metry. Tuż pod szczytem obsuwa mi się noga i uderzam twarzą w skalny stopień. Z rozciętej wargi tryska krew. Na szczycie czuję ulgę, już wyżej nie iść nie muszę. Jest 9.20. Staram się robić zdjęcia, bo pogoda jest piękna, chcę mieć na całe życie ten widok, na który tak długo musiałam pracować. I za który wciąż mogę drogo zapłacić, bo przecież zejście będzie długie trudne i samotne. Zostawiam lodową śrubę z fioletową pętlą i powoli rozpoczynam powrót. Brak tlenu wywołuje



Po zejściu w bazie. Fot. kucharz NN

halucynacje. Najpierw mam wrażenie, że jestem w Tatrach. Niżej wydaje mi się, że jestem w wielkim białym namiocie a w górze pali się potężna lampa. Przewyciężam majaki i widzę, że ktoś wychodzi mi naprzeciw. To Tsiring pomaga mi przejść trawers seraków i prowadzi do namiotu w obozie trzecim.

Od jakiegoś już czasu czułam, że palce u rąk są pozbawione czucia teraz, w świetle latarki wydają się ciemno szare. Odmrożone!!!, Amputacja, koniec ze wspinaniem!. Na siłę wlewam w siebie całą menażkę herbaty. Zасыpiam wierząc, że nie będzie najgorzej. Rano palce są ciepłe sprawne bez żadnych odmrożeń - to cud!

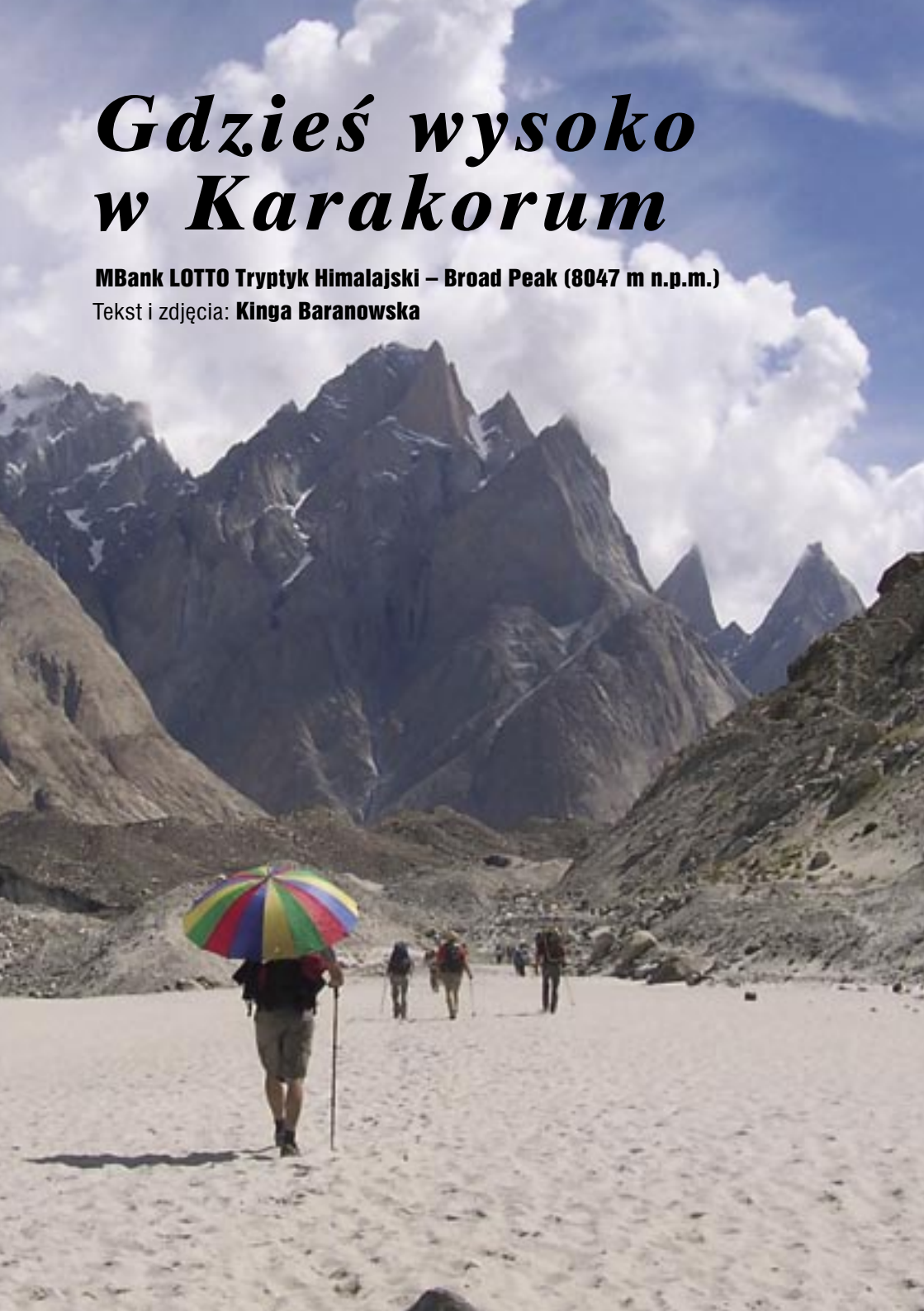
26 maja

Po ciężkiej nocy w obozie trzecim wracamy na dół. Pakujemy wszystko, śmieci zakupujemy i powoli ruszamy. Dotarcie do obozu pierwszego ma smak sukcesu. Jutro będziemy w bazie. Wracamy do domu.

Gdzieś wysoko w Karakorum

MBank LOTTO Tryptyk Himalajski – Broad Peak (8047 m n.p.m.)

Tekst i zdjęcia: **Kinga Baranowska**



Preludium

Na tej wyprawie nie chce mi się w ogóle czytać książek. Nie chce mi się też pisać dziennika, co czynię zazwyczaj. Chce mi się za to być z ludźmi, rozmawiać z nimi oraz chłonąć miejsce, w którym się znajduje.

Po wielu perypetiach udaje mi się znów pojechać na wyprawę w góry wysokie. Determinacja była niemała, o czym świadczą: wyblagany w firmie parotygodniowy urlop, załatwienie zastępstwa na moje miejsce i wreszcie zmierzenie się z kolejnym wyzwaniem, jakie stanowi „pechow” Broad Peak. – Co myślisz? Powinam jechać na Broad Peak? – pytam Piotra parę miesięcy przed wyprawą.

– Nie chcę cię namawiać. Próbuję wyzbyć się myśli, że ta góra mnie nie lubi. Nie wiem, jak będzie teraz. Chciałbym jednakże się z nią zmierzyć po raz ostatni i chcę, by na wyprawie byli ludzie, z którymi się dobrze czuję. To chyba dla mnie najważniejsze.

– A co z moją aklimatyzacją, a raczej jej brakiem? Przecież wy będziecie po dwóch górach ośmiotysięcznych! Będę opóźniać cały peleton – zamartwiam się głośno.

– Podobno szybko się aklimatyzujesz – odpowiedział mi ironicznie Piotr.

Wysłałam ze spotkania ze spuszczoną głową i zaczęłam się zastanawiać, czy nie porywam się przypadkiem na zbyt wiele. Plan był taki, że Piotrowie robią nową drogę na Broad Peak, ja zaś zupełnie inną: drogę pierwszych zdobywców. Tak więc pewnie i tak za dużo razem nie mieliśmy się wspinać.

Trochę historii

Pierwsze skojarzenia, jakie miałam z tą piękną górą, to nazwiska Kurta Diem-

bergera i Hermana Buhla. Wraz z dwoma innymi wspinaczami zdobyli ją jako pierwsi. Broad Peak jest dwunastym pod względem wysokości szczytem ziemi, położonym w północnej części Pakistanu, w drugim co do wysokości łańcuchu górskim – Karakorum, położonym na zachód od Himalajów. Po raz pierwszy góra ta została zdobyta w 1957 roku, a od tamtej pory na Broad Peak wyznaczono zaledwie cztery drogi. Największym sukcesem było zrobienie trawersu wszystkich trzech wierzchołków w stylu alpejskim przez Wojtkę Kurtykę i Jurka Kukuczki. Wyczyn ich po dziś dzień należy do najwybitniejszych osiągnięć sportowych dokonanych na wysokości ponad ośmiu tysięcy metrów.

O Broad Peak wiedziałam również to, że jest górą dość „wypadkową”, począwszy od pierwszego wejścia Polaków na wierzchołek środkowy w 1975 roku. Najlepiej jednak znalazłam historię sprzed roku, kiedy odbyła się tam parodniowa akcja ratunkowa po Artura Hajzera, który złamał nogę w okolicach 8 tys. metrów.

Jednym słowem – góra, której droga normalna nie jest szalenie trudna, przysparza jednak niebywałych trudności, głównie podczas zejścia, ze względu na sporą ekspozycję. Kiedy popełnisz błąd – nie ma ratunku. Po prostu jest gdzie spadać.

Wiedziałam też, że Broad Peak jest górą „pechow” dla Piotra Pustelnika, lidera naszej ekspedycji, który próbuje już czwarty raz się z nią zmierzyć. W poprzednich latach wyciągał na Broad Peak innych wspinaczy z opresji i sam ledwo uszedł z życiem.

O pewnej kobiecie

Kiedy szłam lodowcem Baltoro zastanawiałam się, jak wyglądała karawana, którą kierowała Wanda Rutkiewicz w 1975 roku, a także te z późniejszych lat, biorąc pod uwagę fakt, iż samo dotarcie do Pakistanu zabierało im wówczas parę długich tygodni. W czasach kiedy nie było drogi do Askole i mostów przez Braldo, czas karawany wydłużał się niemiłosiernie. Najpierw koszmarny upał od Dassu, potem akrobatyczne jazdy w koszu przez rzeki, a na koniec tyle tradycyjne, co uciążliwe strajki tragarzy w Pajiu. Ciężko w takiej sytuacji nawet wspominać, iż pięciodniowa piesza karawana po lodowcu Baltoro to długo. Bo to tak naprawdę – w porównaniu z tamtym okresem – przecież tyle, co nic!

Podpis



O aklimatyzacji i pechu, ale nie bardzo poważnie

Już przy pierwszym wyjściu z bazy spotkał nas przysłowiowy pech. Tak przynajmniej stwierdził Piotr, który podejrzliwie wszystkiemu się przyglądał. Wynajęliśmy tragarza na jedno wyjście, które zaplanowaliśmy od razu do obozu trzeciego na 7200 m. Byliśmy objuczeni jak osły. Tragarzowi też nieźle przypadło – bo ponad 20 kg ładunku, Piotrowie również nie narzekali na brak kilogramów. Podchodziliśmy wolno, ale nie chciało nam się wychodzić kilka razy do góry i wracać do bazy po kolejny ekwipunek.

Niestety, wynajęcie portera wcale nie wyszło nam na dobre. Już mniej więcej po dwóch godzinach od wyjścia naszemu tragarzowi



Podpis

przydarzyło się nieszczęście. Okazało się, że lecący z góry kamień zламаł mu nogę. Pech chciał, że nikogo oprócz mnie nie było w pobliżu. Nie była to sytuacja, o której mogłabym pomarzyć w górach wysokich, jednak cóż było robić. Na szczęście dla mnie, po dłuższej się w nieskończoność godzinie zjawiała się pomoc. Nasz porter został zniesiony do podstawy ściany, ja zaś zostałam z około czterdziestokilogramowym ładunkiem. Jedyne, co pozostało mi w tej sytuacji, to zabrać z tego jak najwięcej i wdrapać się ostatkiem sił, szorując nosem po śniegu, do obozu wyżej. Nie pamiętam, kiedy byłam tak bardzo zmęczona. Z drugą partią ładunku portera uporał się Piotrek M. I tak, po perypetiach, udało się nam w końcu założyć obóz I.

W tej sytuacji Piotr P. się oflagował i stwierdził:

– Znowu PECH! Nie opuszcza mnie na tej górze od tylu lat!

Uspokajamy go więc wszyscy na zmianę i udaje nam się wreszcie ustalić plan na kolejne dni. A więc ruszamy wyżej. Nie ma co zatrzymywać się na wysokości 5200 m, gdyż to nam nie pomoże w naszej aklimatyzacji. A pech na pewno nas opuści, a raczej w ogóle go nie ma!

Pierwszy atak szczytowy

Parę dni później w obozie trzecim chłopcy szykują się do ataku szczytowego. Czują się dobrze i chcą to wykorzystać, a przy okazji także pogodę, która nam sprzyja. Wyłączają radiotelefony i oznajmniają mi i Andrzejowi, że idą spać. Tymczasem my w obozie drugim zjadamy się kolejną porcją kisielu... Po chwili słyszę w radiu nawoływania. To Austriacy:



Podpis

– Jesteście tam? Mamy problem, nasi koledzy od paru dni nie zeszli do bazy. Obaj przebywają na grani szczytowej. Prawdopodobnie jeden z nich nie żyje, drugi potrzebuje pomocy.

Włos nam się zjeżył na głowie. Potwierdziliśmy jeszcze kilkakrotnie wszystkie informacje, ale nie było już żadnych wątpliwości. Na grani znów zdarzył się wypadek. Piotrowie śpią. Cała masa myśli kłębi się w głowie, noc mam na pewno z głowy. Jest późny wieczór, my jesteśmy na 6400 m, Tres Pedros w obozie trzecim i są jedynymi ludźmi w pobliżu miejsca wypadku, ale to i tak prawie 1000 metrów niżej!

Wyobrażam sobie, co znów pomyśli Piotr, kiedy następnego dnia się o tym dowie: „Ten cholerny PECH...! Kiedy on mnie wreszcie opuści?!”. Niestety albo może na szczęście

nie udaje nam się tego dnia skontaktować z Piotrami. Przynajmniej parę godzin prześpiali i nie szli na szczyt z czarnymi myślami. I tak by to niczego nie zmieniło.

Pierwszego austriackiego wspinacza znalazł Piotrek M., gdyż najszybciej dotarł na przełęcz między wierzchołkiem środkowym i głównym. Żył, ale był w bardzo kiepskim stanie. Nie potrafił samodzielnie ustać na nogach. Czyżby kolejna akcja ratunkowa, jak w poprzednim roku na Broad Peak? Czyżby znów ten pech, który prześladował Piotra od 1998 roku i potem przez kolejne wyprawy na tej górze?? Nikt z nas nie chciał tak myśleć...

Udało się sprowadzić poszkodowanego na bardzo silnych dawkach leku do trójki. Zrobił to Piotrek M. Pozostała dwójka poszła w stronę szczytu, by sprawdzić, co się dzieje

z drugim wspinaczem. Znaleźli go niedaleko wierzchołka. Niestety, już nie żył...

Mój szczyt

Parę dni później również i ja z Andrzejem udajemy się w stronę szczytu. Nabyta wcześniej aklimatyzacja po dwóch nocach na 7200 m wystarczyła, by zaatakować Broad Peak. Niestety, Andrzej zachorował i z zalem musiał zrezygnować z atakowania szczytu. Tak więc zdobywałam go w towarzystwie Basków, których poznałam podczas wyprawy i z którymi trochę przypadkowo stworzyłam zespół. Udało nam się w trójkę zrobić coś, czego na pewno nie udało by się osiągnąć w pojedynkę, gdyż wcześniej straciliśmy dwa namioty z całym ekwipunkiem. Opłacili się: wzajemna pomoc i wspieranie.

Takich trudnych sytuacji na wyprawie było kilka. Bo góry wysokie to nie tylko umiejętność sprostania pionowym ścianom i kolejnym trudnościom. To przede wszystkim cała masa sytuacji, którym trzeba też umieć stawić czoło i zachować się po prostu po ludzku. To także wielka okazja by poznać samego siebie. W końcu tyle wiemy o sobie...

Dziękuję losowi, że w niektórych sytuacjach nie musiałam się znaleźć. I chciałabym nie musieć nigdy się w nich sprawdzać. Te parę tygodni w Karakorum pokazały mi też, jak ważne jest, z kim się jest na wyprawie: czy są to ludzie, którzy są w stanie zrezygnować z własnego celu, by pomóc komuś w potrze-

bie, czy też zapatrzeni we własny sukces, nie dostrzegają już niczego poza nim...

Miałam okazję pojechać tam z doświadczonymi himalaistami i uczyć się od najlepszych. Dla mnie było to cenne doświadczenie.

Post Scriptum

Latem 2006 roku byłam członkiem dwunastoosobowej międzynarodowej wyprawy na Broad Peak. Z Polski wyjechało 5 osób (w tym jeden Słowak), z czego czwórka stanęła na szczycie. Byli to kolejno: Piotr Pustelnik (8 lipca 2005), Peter Hamor (8 lipca 2006), Piotrek Morawski (9 lipca 2006), Kinga Baranowska (22 lipca 2006). Andrzeja Rusowicza dopadła choroba gardła i nie udało mu się zdobyć wierzchołka. Zostałam jedenastą kobietą na świecie oraz drugą Polką (po Krystynie Palmowskiej), która zdobyła Broad Peak. Na szczycie stanęłam razem z Baskijką – Isabelle i Baskiem – Roberto.



KOMUNIZM ŻYJE!

Tekst i zdjęcia: Marcin Miotk

Kommunizm nie umarł, ciągle żyje i ma się dobrze! Gdzie? Na przykład w Tadżykistanie. Próbowano go tam uśmiercić i wymazać z pamięci, ale się nie udało. Kommunizm nadal cieszy się dużą popularnością. Można wręcz powiedzieć, że się rozwija: z roku na rok coraz więcej wyznawców zjeżdża do jego stolicy – bazy Moskwi-
na (tak, tak do tej Moskwy, którą znacie) w górach Pamiru.

My także pod koniec lipca w liczbie 16 wyznawców udaliśmy się w podróż w czasie. Cofnęliśmy się do okresu ZSRR, który żyje w mentalności, zachowaniu, krajobrazie, poziomie życia mieszkańców krajów Wschodu, takich jak na przykład Tadżykistan. To położone w środkowej Azji państwo ze stolicą w Duszanbe graniczy z Uzbekistanem, Kirgistanem, Chinami, Pakistanem i Afganistanem. Ponad połowa jego terytorium położona jest na wysokości powyżej 3000 m n.p.m., co powoduje, że kraj ten zamieszkuje tylko 7 milionów mieszkańców.

Vabank

Pierwsze zetknięcie z praktykami, które powodują ból głowy i przenoszą nas w dawne czasy, miało miejsce jeszcze w Polsce. Gdy wyprawa była już przysłowiowo zapięta na ostatni guzik i do wylotu pozostały dwa tygodnie, tadżycka agencja góraska poprosiła nas o przesłanie 10 tysięcy dolarów zaliczki na konto w Dubaju (!), potrzebnych, rzekomo, na poczet wynajęcia helikoptera, zabezpieczenia paliwa oraz opłacenia pilotów. Przyznacie, że brzmiało to dość egzotycznie. Nasza stanowcza, ale wyważona reakcja zapobiegła zapłacie zaliczki, mieliśmy już

jednak przedsmak tego, z czym dane nam było zetknąć się na miejscu.

Czy leci z nami pilot?

Z Berlina do Sankt Petersburga dolecieliśmy bez większych problemów. Naszej licznej grupie od razu przydzielono opiekuna, który zajął się „innostranicami”. Nasze stopy bagażu, jakby nie liczyć, przekraczały dozwolone 20 kg na głowę (z podręcznym!). Jak na komunistyczny kraj przystało, już po przetransportowaniu nas do odpowiedniego terminalu, zainteresowało się nami trzyosobowe komando policyjne. Stróż prawa od razu dali nam do zrozumienia, że bez „wspomagania” nasze bagaże nie mają szansy zmieścić się w dozwolonym limicie. Ostatecznie jednak tyle osób chciało na nas zarobić, że stwierdzono chyba, iż po podziale niewiele by zostało i zajęto się „sprawami bagażowymi” innych pasażerów, a nam kazano oficjalnie zapłacić za nadbagaż. Problem w tym, że musieliśmy zapłacić w rublach. Inna waluta oraz karty kredytowe nie były akceptowane. Jeden z nas w obstawie policyjnej opuścił strefę bezwizową i dokonał odpowiedniej wymiany waluty. Wszystko to spowodowało, że ledwo zdążyliśmy na samolot. TU-154, cudo komunistycznej techniki, duma radzieckich konstruktorów już czekał na przyjęcie gości. Wrak innego samolotu na płycie lotniska przypominał pasażerom o tym, że przeżegnanie się i odmówienie krótkiej modlitwy za szczęśliwy lot z pewnością pomogą w szczęśliwym dotarciu do celu podróży. Pilot bełkotliwym i zachrypniętym głosem (ciekawe po czym?!) powitał pasażerów. Wrażeń mieliśmy już dosyć, więc po szybkim i skutecznym znieczuleniu się, pograżyliśmy się w śnie.

☞ Pamirska zagadka: co było pierwsze: wódka Duszanbe czy szczyt Duszanbe?

Windykator

Rano na lotnisku w Duszanbe pojawił się Gienadij – jedna z najważniejszych osób w agencji Asia Travel. Europejskie rysy twarzy i dobra znajomość języka angielskiego zmyliły nas, że mamy do czynienia z człowiekiem, któremu pewne standardy nie są obce. Gienadij jednak poinformował nas, że mamy teraz zapłacić mu po 900 dolarów, oddać paszporty, a podstawione dwa gruzawiki zawiozą nas do bazy helikopterowej. Udał wielce zdziwionego, kiedy poprosiliśmy o jakiegokolwiek potwierdzenie wpłaty – przecież w sumie mieliśmy zapłacić prawie 15 tysięcy dolarów (!), czyli kwotę, za jaką w Tadżykistanie można kupić kilka wiosek. Po jego dziwnej prośbie o przedpłatę na konto w Dubaju, nasze zaufanie do

niego znacznie spadło. Gienadij oświadczył, że żadnego potwierdzenia nie może teraz dać, bo ma wszystkie dokumenty w biurze i będzie to możliwe dopiero po południu. Mieliśmy do wyboru albo czekać osiem godzin i stracić cały dzień, albo zapłacić i jechać do bazy. Po burzliwych dyskusjach postanowiliśmy jednak zapłacić. Gienadij skasował nas na 15 tysięcy dolarów, schował wszystkie pieniądze do reklamówki i pojechał w stronę dal. A my staliśmy jak wryci, zszokowani tym, jak tu się robi interesy i tym, że duch Lenina jest tu ciągle żywy.

Helikopter prezydenta

Droga do bazy helikopterowej to dość malownicza, aczkolwiek smutna w gruncie

rzeczy podróż. Ludzie w okolicy, przez którą się przejeżdża, żyją bardzo biednie. Górski krajobraz nie sprzyja rolnictwu. Fabryki dewastowane. Nieliczni szczęśliwcy mają pracę. Droga krajowa, którą jedziemy, w czasach ZSRR była z pewnością asfaltowa – teraz nie można nią jechać szybciej niż 50 km/h, bo to jedna wielka dziura, a asfaltu prawie w ogóle nie widać. Ludzie w rozmowach z rozrównieniem wspominają czasy sowieckie, kiedy to wszystko było lepsze i tańsze. Nasz gruzawik psuje się już parę kilometrów za Duszanbe. Kierowca staje jednak na wysokości zadania i w godzinę organizuje zastępczy samochód. Wygląda on o niebo lepiej i solidniej, jednak po paru godzinach jazdy po miejscowych wertepach konieczne jest małe spawanko – robimy dwugodzinną przerwę, a kierowca z miejscową złotą rączką naprawiają podwozie. W nocy dojeżdżamy na lotnisko w Jirgital – mamy szczęście, bo jutro będzie lot helikoptera do bazy.

Jirgital to małe, kilkutysięczne miasteczko na wschodzie Tadżykistanu, położone przy drodze krajowej w kierunku granicy z Kirgizją, pogrążone we śnie przez prawie okrągły rok. Jedną z większych atrakcji jest letni przyjazd alpinistów z całego świata. Dzieci nieustannie okupują tereny wokół lotniska. Dziennikarze lokalnych gazet przeprowadzają wywiady, a miejscowe sklepy i knajpy liczą zyski. Sklepy wyglądają jak w polskim stanie wojennym – ocet i arbuzy to główne pozycje w asortymencie. Nie brakuje tylko alkoholu w promocyjnej cenie 4 zł za pół litra. Nie marnujemy więc ostatnich chwil przed odlotem do bazy w górach.

Po długim oczekiwaniu nadlatuje helikopter, a nie jest to wydarzenie codzienne,

bo w całym Tadżykistanie mają dwa helikoptery, które muszą obsługiwać prezydenta, rząd i operacje wojskowe. Czekamy na swoją kolej. Jednorazowo nasz helikopter może zabrać jedynie 1600 kg (ok. 14-16 osób z bagażami). Już mamy się pakować do śmigłowca, gdy pilot oświadcza, że dzisiaj nie polecą – musi wracać do stolicy, bo prezydent chce gdzieś lecieć. No cóż – w końcu jako głowa państwa jest trochę ważniejszy od nas. Ostatecznie następnego dnia dolatujemy szczęśliwie do bazy, rozpoczynając akcję górska.

Leninowi już dziękujemy

Rozpoznanie topografii rejonu przenosi nas w zamierzchłe czasy, kiedy to góry zdobywano dla ojczyzny i jedynie słusznej partii. Pik Lenina wszyscy znają, Stalin oczywiście nie chciał być gorszy i jego imieniem nazwano nowo odkryty szczyt o wysokości 7495 m (dzisiejszy Pik Kommunizmu). Duch Stalina patrzył więc na naszą bazę o każdej porze dnia i nocy. Aby docenić wszystkich, jedynie słusznych myślicieli nowożytności, Karol Marks także doczekał się swojego szczytu. Jego zasługi wyceniono jednak tylko na 6723 metry. Gdy już zabrakło znanych postaci, szczyty dedykowano np. zjazdowi partii (Pik XIX Zjazdu Partii).

Ostatnio, w lipcu 2006 roku, rząd Tadżykistanu postanowił zmienić nazwy dwóch szczytów górskich noszących nazwy nadane im w okresie istnienia ZSRR. Pik Lenina (7134 m, leżący na granicy kirgisko-tadżyckiej) został przemianowany na Szczyt Niepodległości, a góra nazywana Szczytem Rewolucji (6940 m n.p.m.) będzie nosić imię Abu Ali Ibn Siny (980-

Nocleg na lotnisku w Duszanbe.



-1037), znanego na Zachodzie jako Awicenna, arabskiego filozofa i lekarza pochodzenia tadżyckiego.

Alpenlagier

Baza pod Pikiem Kommunizmu to typowy przykład alpenlagru z czasów ZSRR – duża polana otoczona pięknymi szczytami. Kluczowym miejscem bazy jest jadalnia. To tutaj skupia się całe obozowe życie. Rytm dnia wyznacza wszystkim gong, który oznajmia porę posiłków. Kulminacją dnia jest kolacja, która zaczyna się o 19 i trwa, i trwa, i trwa do późnych godzin wieczornych. Czas wieczornych pogawędek można sobie umilić różnymi napojami alkoholowymi dostępnymi w barze. Dużą popularnością cieszyły

się wódki z nazwami okolicznych szczytów – wyobraźcie sobie: wchodzie na szczyt, a po powrocie czeka na was schłodzona wódeczka z nazwą szczytu, na którym byliście. Piękne, prawda? Mnie szczególnie urzekła wódka Duszanbe.

Historycznie alpenlagry były miejscem rozgrywania alpinad, podczas których kilkudziesięcioosobowe grupy wspinaczy atakowały wybrany szczyt. Alpinada miała z góry ściśle ustalony program. Ich celem był trening zespołowego działania w górach wysokich, bardzo przydatny w czasie typowego dla tamtego okresu obłąnniczego stylu zdobywania szczytów. Ciekawostką jest, że takie alpinady odbywały się także w Polsce (np. wielka alpinada zimowa, kierowana przez Witolda H.

Paryskiego, której celem było dotarcie do Świnicy granią od Koszystej).

Baza składa się ze wspomnianej mesy, małych metalowych domków (głównie dla obsługi bazy i zamożniejszych klientów), kilkunastu drewnianych podestów z dużymi namiotami, budynków gospodarczych, pozostałości po sklepie, punktu sanitarnego, punktu napełniania gazu, punktu obserwacyjnego, infrastruktury sportowej. Po prostu miasteczko, w którym każdy znajdzie coś dla siebie. Brakuje chyba tylko kina i toru dla gokartów.

Tak jak wieczorne życie skupia się w jadalni, tak do południa centrum kulturalnym jest budynek sanitarny z prysznicem, sauną oraz miejscem do prania i suszenia. Ludzie ciągną tutaj zwabieni ciepłą wodą, wygodnymi podestami do prania i ogólnie po to, aby spotkać innych wspinaczy i pogadać o życiu, pogodzić o kilkuset innych tematach. Krajo-braz bazy uzupełniają WC w kilku dziwnych kształtach i kombinacjach – otwarte (najczęściej z porażająco pięknym widokiem) lub zadaszone. Co ważne, w trakcie sezonu WC zmieniają co kilka tygodni swoje miejsce – tak, że w bazie nie brakuje „drogowskazy”, jak do nich trafić!

Atak przy siatce

W bazie jest wiele możliwości uprawiania sportów. Największą popularnością cieszy się oczywiście „dźwiganie ciężarów”. Dyscyplina ta odbywa się w barze lub w saunie (!), najczęściej w porze wieczornej. Najlep-



sze rezultaty osiągają reprezentanci krajów byłego ZSRR. Wielu zwolenników ma również podciąganie na drążku – w końcu trzeba dbać o formę podczas pobytu w bazie. Największą atrakcją było jednak boisko do siatkówki – rozgrywane co kilka dni mecze międzypaństwowe anonsowano z dużym wyprzedzeniem, aby można odpowiednio zaplanować akcję górską – przecież występ w reprezentacji był ważniejszy niż najpoważniejsza nawet wspinaczka. Swoje atrakcje mieli także miłośnicy sportów wodnych, którzy bazowym kajakiem mogli pływać po miejscowym jeziorze. Jak widać, alpenlagry wyposażone zostały w infrastrukturę taką, jaką miał do dyspozycji typowy ośrodek wypoczynkowy za czasów Gierka.

Rosyjska ruletka

Wspinaczka w Pamirze to również ciekawe pole obserwacji dla przybyszów z zachodu.

Baza na lodowcu Moskwa.





Prawie sztuka. Prawie robi wielką różnicę.

Pierwszy wniosek: tu ciągle tęskni się jeszcze za stylem obłączniczym. Zespoły z byłego ZSRR w większości atakują całą „komandę”: kilku- lub kilkunastoosobowe tramwaje to ich główny znak rozpoznawczy. Po czym jeszcze można poznać wspinacza à la ZSRR? Na pewno po papierosie. Prawie każdy odpoczynek musi być uprzyjemniony papierosem. A papieros na szczycie to już wręcz obowiązek – podobnie jak zrobienie zdjęcia. Kolejny znak rozpoznawczy – rosyjska ruletka w praktyce: brak kasku w terenie i o tej porze dnia, kiedy jest on niezbędny.

Sukces

Nasza wyprawa odniosła wielki, niezaprzeczalny sukces, bo:

1. W stylu alpejskim zdobywała wieczorami kolejne szczyty na butelkach miejscowych wódek.
2. Bez zakładania poręczówek była w stanie codziennie wieczorem wrócić z mesy do namiotów.
3. Bez tlenu była w stanie wytrzymać trzy minuty w bazowych WC.
4. Jako pierwsi alpinści w historii wywołaliśmy wyludnienie miejscowej bazy – nasza bogata konsumpcja spowodowała niedobór piwa i wódki na dziesięć pełnych dni – baza opustoszała i wszyscy poszli w góry.

Jeśli tęsknicie za wielką, górską przygodą – musicie pojechać do Tadżykistanu.



Sanitarna zona.

Problemy formalne zrekomensowane są nadzwyczajną atmosferą, gościnnością, wspaniałymi widokami, czystą przyrodą, no i oczywiście tanim alkoholem. Kommunizm żyje – młodzi poznają, co to takiego, a starsi odkrywają go na nowo!

Postscriptum

Lista wejść wyprawy:

Pik Korżeniewskiej (7105 m n.p.m.):

07.08.2006 – Marcin Miotk, Jerzy Kawiak
09.08.2006 – Sylwia Bukowicka, Paweł Sokołowski, Paweł Zimnicki, Dominik Ziembowicz

10.08.2006 – Dariusz Szut, Łukasz Stocki, Kamil Gabarski, Jakub Michalak
12.08.2006 – Krzysztof Bigda, Daniel Kreutzer

Pik Kommunizmu (7495 m n.p.m.)

15.08.2006 – Marcin Miotk, Jerzy Kawiak
18.08.2006 – Dariusz Szut, Cezary Woś, Paweł Zimnicki, Dominik Ziembowicz, Jakub Michalak
19.08.2006 – Krzysztof Bigda, Daniel Kreutzer

Więcej informacji, zdjęć z wyprawy na: www.MIOTK.pl

Odejście w mgłę

Tekst i zdjęcia: **Paweł Roehrych**

„Życie jest jak partia szachów. Pionkami jesteście my, a szachownicą mapa życia” – zapadły mi w pamięci te słowa wypowiedziane przez Jacka Telera, który tak podsumowywał swoje tegoroczne przygody na K2, gdzie lawina dosłownie wymiotła mu sprzed nosa czterech kompanów ataku szczytowego. Szczęście, lub boża opatrność, spowodowały że masy śniegu przetoczyły się ponad jego plecami, podczas gdy on, wczepiony czekaniem w lód, wisząc na nadwyrażonych poręczówkach, mógł tylko zastanawiać się, czy to już i na niego czas, czy też tym razem dane mu będzie jeszcze przeżyć.

Ale śmierć w górach wysokich nie zawsze przychodzi nagle, z hukiem lawiny czy spadającym na namioty lodowym serakiem. Czasem krąży wokół nas, by w końcu wśliznąć się niepostrzeżenie, jak zimny powiew wiatru nieopatrznie wpuszczony do niezaabezpieczonego schronienia. Świadomość, co się stało, przychodzi później, po dłuższej refleksji. Jest ona jak promień słońca, który przegania resztki uciekających, złowieszczych mgieł.

Na przełęcz pomiędzy Chan Tengri a plecami Piku Czapajewa udało mi się wtargnąć cały sprzęt w szósty dzień po wyruszeniu z bazy na północnym Inylczeku. Czyli 5 900 m n.p.m. osiągnięte. W miarę ładna pogoda dawała nadzieję, że równie dobrze pójdzie wyżej. Gdyby się utrzymała, udałoby się stanąć na szczycie wymarzonego siedmiotysięcznika w pierwszych dniach sierpnia.

Z Andrzejem z Gliwic oraz Peterem z Czech wnieśliśmy namiot na wysokość 6 400 metrów, aby następnego dnia zaatakować szczyt (7010 m n.p.m.). Męczące, nocne czuwanie. Następnego dnia mgła i wiatr.

Ryzykujemy i postanawiamy przespać drugą noc. Kiedy następnego poranka pogoda znowu nie daje szans na skuteczne zaatakowanie szczytu, podejmujemy decyzję o powrocie do obozu na przełęczy. Po dotarciu na miejsce próbuję wejść do namiotu, a tam – niespodzianka: wyrwany ze snu, zaspany, obcy jegomość wyraża, najwyraźniej, zaskoczenie, że wrócił prawowity lokator. Jako że sytuacja powoli przybierała taki obrót, że nieproszony gość rozważał czy jest jeszcze miejsce na drugą osobę czy też nie, a ja na wzmagającym się wietrze musiałem udowadniać prawo wejścia do własnego namiotu, postanowiłem uciąć dyskusję ładując się po prostu w całym osprzęcie do pałatki.

Pomimo chłodnego zapoznania postanowiliśmy jednak nie chytać za czekany. Niespodziewanym lokatorem okazał się być Heinz Ramish, stateczny inżynier z Bawarii pod sześćdziesiątkę. Po serii trekkingów i próbie wejścia na Cho Oyu zapragnął wejść w tym roku właśnie na Chana. Na przełęcz dotarł w śniegu od południa. Trafił akurat w okno pogodowe. Gdy jednak doszedł na samą przełęcz, pogoda się zepsuła. Nie miał namiotu, liczył na jakąś improwizację – być może nocleg w namiocie przewodników lub waletowanie w cudzym namiocie, albo też śnieżno-lodowe jamy. Jego wyekwipowanie nie sposób było niczego zarzucić. Buty Milleta, uprząż ze sprzętem osobistym, polary, rękawiczki, gogle, raki – sroce spod ogona nie wyskoczył.

Mgła i śnieg przygwoździły nas na kilka kolejnych dni. Codziennie rano zerkaliśmy w kierunku leżącej na południe Pobiedy (7439 m n.p.m.), która albo cała była ukryta

Obóz III na przełęczy (5900 m n.p.m.). Widoczny namiot przewodników. W tle podejście na wierzchołek pleców Czapajewa (6100 m n.p.m.). Na tej drodze po raz ostatni widziałem Heinza.

w mgłach albo, od czasu do czasu, ukazywała coraz to inną część swojego masywu

Przy liofilizatach udających potrawkę z kurczaka lub beuf strogonoff dyskutowaliśmy między innymi o dziwnych zrządzeniach losu. Zgodziliśmy się na przykład, że do naszej wykwintnej kuchni brakuje jakiegoś dobrego, wytrawnego wina. A swoją drogą, czy nie jest dziwne choćby to, że dwóch inżynierów budownictwa z sąsiednich państw europejskich spotyka się akurat w jednym z mniej dostępnych zakątków Tien Szanu? Było też trochę o pogmatwanej historii, trochę o współczesnym świecie.

W międzyczasie drogę na południe całkowicie zasypało białym, nieprzetartym puchem. Zagrożenie lawinowe było oczywiste. Heinz słusznie stwierdził, że powrót na południe to za duże ryzyko. Dogażał się z też biwakującym w tym samym czasie co my przewodnikiem tour agencji, że ten pomoże mu zejść po zerwach ku północy. Ustalili nawet cenę za scholowanie do bazy.

Rano - jak przez ostatnie kilka dni - mleko. Heinz wraz z przewodnikiem ruszyli w kierunku pleców Czapajewa. Kiedy około południa wychyłałem z namiotu, widać było dwie czarne kropki podchodzące pod wierzchołek. Wyruszyli około czterech godzin wcześniej. Biorąc pod uwagę ile im jeszcze drogi zostało, był to raczej zły prognostyk.

Tego samego dnia, we mgle i wietrze, Andrzejowi udało się wejść na szczyt. Wierzchołek atakowało także troje Basków (nie chcieli, by mówić o nich Hiszpanie). Z trójki - na szczycie stanął tylko jeden. Dwóch pozostałych wróciło w środku nocy. Jeden z nich miał podmrażane dłonie. Następne-

go dnia ewakuowali się w dół. Tymczasem zapasy żarcia zaczęły się kończyć - dodatkowa osoba do wykarmienia nie była przecież przewidziana w pierwotnych planach. Uświadomiliśmy sobie, że jeśli nie będzie pogody, trzeba będzie wracać, bo trudno tu kwitnąć, nie wiadomo ile.

Na szczęście kolejny dzień był piękny i słoneczny (jak się później okaże - jeden jedyny pomiędzy poprzedzającym go, i następującym po nim, okresie niepogody). W tym dniu udało mi się dotrzeć na sam szczyt. Zaraz po Rosjanach, którzy podszli z namiotów gdzieś przycupniętych na wysokości 6100 metrów.

Następnego dnia razem wracaliśmy ku bazie na północnym Inylczeku. Kiedy przechodziliśmy przez obóz drugi znowu zaczął padać śnieg. Oni poszli dalej, mi nie chciało się moknąć. Postanowiłem rozbić namiot i ruszyć następnego dnia. Ciężar znoszonego sprzętu dawał się we znaki. Przez chwilę zastanawiałem się czy nie podzielić bagażu na dwie partie, ale ostatecznie zdecydowałem, że lepiej jednak pomęczyć się raz niż dyrdać na dwa razy. Do zastanowienia się nad tymczasowym pozostawieniem części bagażu skłonił mnie depozyt złożony u wejścia do obozu. Nie skojarzyłem zupełnie po wglądzie plecaka, kto jest właścicielem. A powinienem był.

W bazie spotykam przewodnika, z którym Heinz wyruszył trzy dni wcześniej. - Zbyttnio to się nie spieszyliście - zagadnąłem, nawiązując do niespiesznego tempa ich powrotnego marszu.

Spojrzał na mnie, kojarząc powoli, że nie jestem najwidoczniej na bieżąco z wiadomościami.

- Heinz nie żyje - uciął krótko.

Potem opowiedział, co się stało. Od staru szło im źle. Heinz był wymęczony kilkoma kolejnymi noclegami na wysokości 5900 metrów. Tempa nie poprawiało nawet wzięcie od niego plecaka. Z pleców Czapajewa zaczęli schodzić grubo po południu. Zaczęło wiać, zrobiło się zimno. Heinz nie radził sobie w zjazdach na poręczówkach. Zejście przedłużało się. Alpinista marzył i słabł coraz bardziej. W zejściu próbował mu pomóc napotkany zespół dwóch Rosjan, Władimir i Serioża, ale niewiele to pomagało. Skarżył się, że traci czucie w dłoniach. W końcu nie

miął sił iść dalej. Został na poręczówkach powyżej obozu drugiego.

Zwłoki dociągnęli tylko do obozu. Złożyli u wejścia i owinęli w plecak. Kiedy relacjonowałem mi te wydarzenia, w bazie trwały właśnie przygotowania do wysłania ekipy do dwójki, w celu ściągnięcia ciała do jedyńki, skąd miano nadzieję podjąć je helikopterem.

Gdy rozstawaliśmy się kilka dni wcześniej i wymienialiśmy do siebie kontakty, mieliśmy nadzieję spotkać się raz jeszcze. Ale śmierć spotkała go i zaprosiła do siebie wcześniej.

Szczyt Chana (7 010 m n.p.m.) i przełęcz z podejścia powyżej obozu II. Obóz III znajduje się mniej więcej na śnieżnym nawisie w środku siódma przełęcz.



NOWE WYZWANIE

– POWRÓT DO DOLINY MIYAR

Tekst i zdjęcia:

Michał Król (Vasque)

Michał Żołądek

Po zdobyciu Lotos Peak stało się dla mnie jasne, że wspinaczki na dużych ścianach pociągają mnie najbardziej. Wiedziałem, że w to miejsce jeszcze kiedyś wrócę, ale nie przypuszczałem, że już za rok. W pamięci utkwiła mi potężna Mount Mahindra, jeden z najbardziej imponujących szczytów w dolinie Miyar. Wyrasta ona z Lodowca Tawa i odkrywa tysiąc dwustu metrową ścianę. Jej pierwsze 900 m to komin, a powyżej niego znajduje się kopuła szczytowa z terenem mikstowym. To był główny cel naszej wyprawy...

Michał Król (Vasque)

W drodze do BC.

Dystans z Tingrad do Base Camp (ok. 30 km) zajął nam 2 dni marszu. Na drodze z Manali do Tingrad pierwszą napotkaną przeszkodą okazał się zerwany most w wiosce Gompa. W tym miejscu dalsza droga naszą terenową „Tatą” stała się nie możliwa. Przenieśliśmy nasz bagaż przez kładkę. Po drugiej stronie rzeki udało nam się załatwić ciężarówkę, którą dojechaliśmy do wioski Tingrad.

Tam spotkała nas kolejna, przykra niespodzianka. Okazało się, że, z powodu zerwania mostu w Chaling, nie możemy użyć do transportu koni, z których przed rokiem korzystałem z Davidem. Plan wymagał modyfikacji. Zamiast koni musieliśmy wynająć ludzi, potrzebnych do transportu około 300 kilogramów bagażu. Podczas pięciogodzinnych negocjacji dotyczących zapłaty udało nam się zbić żądaną cenę o połowę i wynająć 11 tragarzy. Tingrad opuściliśmy rankiem następnego dnia.

Pogoda nie rozpieszczała nas: przez pierwsze trzy dni padał deszcz. Mimo nie-

pewnej aury postanowiliśmy spróbować jednak coś zrobić...

Razem z Przemkiem, w celach aklimatyzacyjnych, udaliśmy się na pn.-zach. ścianę Tamadonoga (ok. 5245 m n.p.m.), wznoszącą się nad doliną lodowca Nameless. Przez trójkątny szaniec tej góry wiedzie prawdopodobnie tylko jedna, poprowadzona przez zespół Hiszpanów, droga. Bazę wysuniętą założyliśmy na wysokości około 4237 m. Już następnego dnia, po przybyciu do niej i uprzednim zlustrowaniu naszej planowanej linii, wbiliśmy się w ścianę. O godz. 6 rano stanęliśmy pod ścianą. Z przyjemnością patrzyłem na Przemka, który rwał się do prowadzenia pierwszych dwóch wyciągów.

Po przejściu ok. 500 m drogi prowadzącej głównie systemem rys, nastąpiło załamanie pogody. Na małej, skalnej półce spędziliśmy zimny biwak. Z powodu zimna prawie całą noc chodziliśmy od jednego końca półki do drugiego i to właśnie wtedy nadaliśmy nazwę naszej drodze.

Drugiego dnia, po przejściu łatwiejszej, wiodącej granią 500-metrowej części drogi, dnia 14 sierpnia osiągnęliśmy wierzchołek. Było to prawdopodobnie drugie wejście na szczyt.

„Skazani na Miyar”, VIII-, OS, ok. 1000 m, 31 h.

Kolejne dni przeznaczaliśmy na regenerację sił przed wyjściem na Lodowiec Tawa, która to przedłużyła się do tygodnia, z powodu niekorzystnych warunków pogodowych. Dopiero 21 sierpnia udało się nam wyruszyć na lodowiec. Przeniesienie bazy na wysokość ok. 4859 m trwało dwa dni. Obóz założyliśmy w miejscu, gdzie przed



Podpis

rokiem stała baza włoska. Po dniu restu, w którym udaliśmy się na rekonesans.

Planowany cel wyprawy, jakim była pd.-wsch. ściana Mount Mahindry, został zmieniony. Po rekonesansie okazało się, że komin, którym chcieliśmy wytyczyć drogę jest zbyt kruchy i niebezpieczny. Kolejne dni przyniosły załamanie pogody, padał deszcz ze śniegiem. W nocy 27 sierpnia wreszcie się wypogodziło. Korzystając z okazji zdecydowaliśmy się na działanie. Wyczołgaliśmy się ze śpiworów i włożyliśmy na siebie rzeczy, które, z myślą o wejściu na szczyt, naszykowaliśmy sobie już wieczorem. Tym razem naszym celem było zdobycie dziewiczego szczytu na prawo od Lotos Peak. Próba się powiodła. Dolna część drogi prowadziła najpierw terenem mikstowym (ok. 250 m),

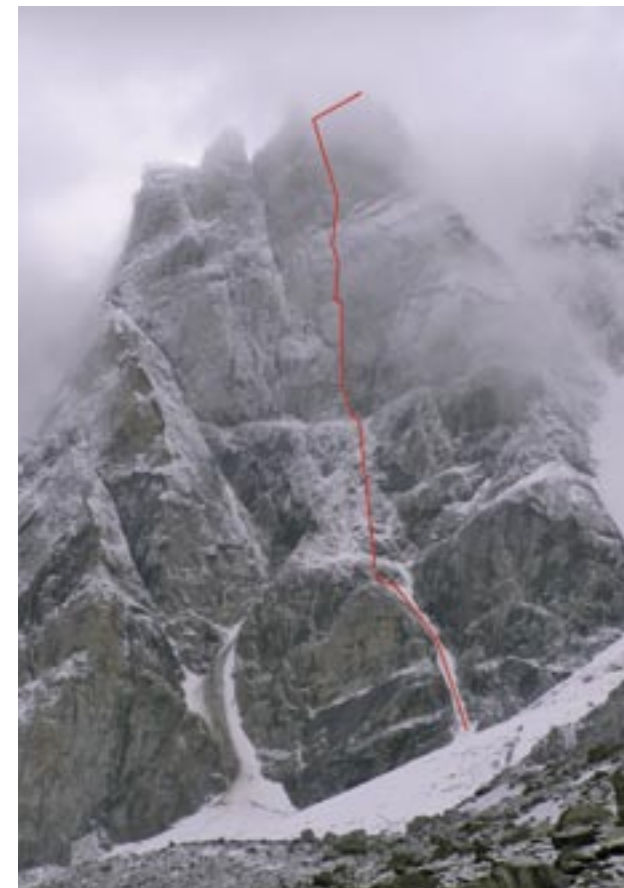
a kolejno łatwym i dość kruchym. Następnie, już w pionowych kominach i rysach, pokonaliśmy drugą część ściany. Trzy wyciągi przed szczytem warunki pogorszyły się, śnieg i deszcz ze śniegiem utrudniły nam wspinanie, co przyczyniło się do tego, że na przedostatnim wyciągu musiałem przyzaserować.

Geruda Peak, VII+, 1 x A0, lód 50-60*, ok. 900 m, 21 h

Wyjazd zmienił mój wcześniejszy stosunek do Indii na bardziej pozytywny. Kraj ten bardzo mi się spodobał, a jego mieszkańcy okazali się bardzo gościnni i przyjaźni. Jeżeli chodzi o same Himalaje, to miesięczny pobyt w ich odosobnionej części wiele mnie nauczył. Przez ten cały okres byliśmy skazani wyłącznie na

własne siły i na swoje towarzystwo 24 godziny na dobę. Każdy był odpowiedzialny za każdego, zarówno w bazie, jak i podczas wspinaczki. Wejście na dziewiczy szczyt okazało się bardzo emocjonującym przeżyciem: wspinaczka nową drogą, widok ze szczytu, którego nikt wcześniej nie widział – wszystko to sprawiało, że mogliśmy się poczuć jak odkrywcy i pierwsi zdobywcy innych gór świata, o których wcześniej czytaliśmy w książkach. Najgorsze były dni w bazie podczas deszczu, kiedy nie można było prowadzić akcji górskiej. Musieliśmy wtedy siedzieć (a raczej leżeć w naszym małym namiocie), urozmaicając sobie czas lekturą, prowadzeniem notatek oraz gotowaniem i słuchaniem muzyki.

Marek Żółtek



Podpis

Jeżeli chodzi o przygotowanie do wspinania, to zazwyczaj noc przed atakiem szczytowym była bardzo krótka. Najpierw mózg ogarnięty milionami myśli nie pozwalał na szybkie zaśnięcie. Kiedy się już to udało, dźwięk budzika przerywał nocną ciszę ok. północy. Następnie wyjście z ciepłego śpiwora na zewnątrz, gdzie było ok. – 15 stopni

C w celu rozpalenia kuchenki na kerozynę, co czasem nie było łatwe. Oczekując na wrzątek, trzeba było ubrać na siebie wszystkie dostępne rzeczy, aby rozgrzać „zaspany” organizm. Po spożyciu liofa lub kaszki z suszonymi owocami można było wyjść z bazy. Po kilku minutach marszu trzeba było rozpocząć zdejmowanie rzeczy, gdyż organizm zaczynał się przegrzewać, nato-

miast na dłuższych postojach znów robiło się zimno, więc kurtka puchowa opuszczała plecak. I tak w kółko...

Masala Peak

Po dojściu do Bazy Włoskiej na Lodowcu Tawa (ok. 4860 m n.p.m.) i rozłożeniu namiotów zaczęliśmy się rozglądać za naszym celem. Nad głowami „wysztrelała” nam wysoko w niebo interesująca nas i dotychczas niezdołana iglica. Jednak po bliższych obserwacjach przez lornetkę okazało się, że jej ściana cały czas jest atakowana przez kamienne lawiny. Postanowiliśmy z niej zrezygnować i poszukać innego celu. Następnego dnia, w ramach rekonesansu doszliśmy do samego końca Lodowca Tawa. Zainteresowały nas szczyty znajdujące się na końcu doliny. Niezdobyte, nienazwane i niezmierzone... Postanowiliśmy tu wrócić pod koniec naszego pobytu. Tymczasem naprzeciwko naszej bazy zlokalizowaliśmy ciekawie wyglądający, lodowo-skalny, dziewiczy szczyt. Altimetr wskazywał ustabilizowaną pogodę, my czuliśmy się dobrze, więc postanowiliśmy następnego dnia zaatakować wraz z Michałem Apollo.

Pobudka o 2.00. w nocy, wyjście z ciepłego śpiwora na „zewnątrz” i przygotowywanie liofa. Niebo od czasu do czasu rozświetlały błyskawice szalejącej gdzieś w oddali burzy. Na szczęście nad nami świeciły gwiazdy. Dojście pod naszą nową drogę zajęło ok. 2 godzin, podczas których musieliśmy przekroczyć lodowiec. W końcu o 7.00. rano wszedłem w pierwszy wyciąg lodospadu (ok. 5050 m n.p.m.). Było to dosyć przyjemne wspinanie, mimo stosunkowo kruchego lodu. Podobne wyglą-



Podpis

dały warunki wspinaczkowe na trzech kolejnych wyciągach, którymi wyszliśmy na przełamanie. Maksymalne trudności na tych 200 metrach wynosiły WI 4. Wyżej teren się kładł i trzeba było pokonać szerokie i głębokie szczeliny spływającego z góry lodowca. Musieliśmy to zrobić bardzo szybko, gdyż słońce zaczęło ogrzewać wiszące nad naszymi głowami seraki, z których dzień wcześniej odpadły olbrzymie bryły lodu. Na szczęście się udało (do góry popychała nas duża motywacja!). Dalsze wspinanie to ścianki lodowo – śnieżne ciągnące się, aż do skalistej turni leżącej na grani. Po dojściu pod skały zdecydowaliśmy się wyjść wprost na grani przez wiszący nad nami olbrzymi lodowy nawis. Po przejściu pionowej części czekała mnie mała, lodowa przewieszka. Niestety, musiałem się z niej cofnąć, gdyż, zamiast lodu, na wyjściu była kilkumetrowa warstwa świeżego śniegu, uniemożliwiającego wyjście na grani. Przetrawersowałem więc pod „lodowym grzybem”, do miejsca gdzie mogłem przedostać się na grani. Dalsza część drogi prowadziła granią. Najpierw ok. 15-metrowa, pionowa ścianka lodowa (WI 4), na której walczył Michał. Gdy ją przebył wszedł w część, która się powoli kładła. Lód na niej pokryty był ok. 20-centymetrową warstwą śnieżnego puchu, który w pewnym momencie runął w dół. Zdażyłem tylko zobaczyć Michała w „białej chmurze” i odruchowo skoczyłem pod lodowy próg. Przez około 30 sekund atakowały mnie większe i mniejsze bryły śnieżno-lodowe. Na szczęście (bo w jego linii spadku byłem ja) Michał się utrzymał i nie został wyrwany.



Po tej dawce adrenalinę dosyć szybko osiągnęliśmy dziewiczy wierzchołek łatwą już granią. Nazwaliśmy go Masala Peak (5650 m n.p.m.), od indyjskiej przyprawy „masala”, a także smakujących nam, miejscowych zupek.

Po zrobieniu kilku fotek rozpoczęliśmy zejście. Górną część drogi udało się nam obejść i zjazdy założyliśmy dopiero na dolnym lodospadzie. Wybraliśmy do tego celu ściankę z małym zaciekiem wodnym znajdującą się po prawej stronie. Niestety, jest ona również narażona na spadające z góry seraki. Na szczęście w ostatnich promieniach słońca dotarliśmy do naszych namiotów.

Masala Peak (ok. 5650 m)- szczyt w grani między lodowcami Tawa i Thunder pomiędzy Thunder Peak i Veneto Peak, I wejście Marek Żołądek i Michał Apollo, 24.08.2006, trudności WI 4, śnieg i lód 80 stopni, długość ok. 800 m, 14 h (samo wspinanie 7 h).

St. Cristopher Pass

Po dwudniowym odpoczynku postanowiliśmy wrócić na koniec Doliny Tawa. Sy-

Podpis



Podpis

gnał budzika przerwał ciszę nocną o północy. Była wyjątkowo mroźna pogoda...

Dwie godziny później wyruszyliśmy w drogę. W świetle czołówek pokonywaliśmy kolejne kilometry lodowca, aż ok. 6 rano znaleźliśmy się na obszernym plateau na końcu doliny. Tam postanowiliśmy chwilę odpocząć i poczekać, aż wyjdzie

gdyż temperatura (ok. – 20 st. C) nie zachęcała do wspinania. W tym czasie przyrządziliśmy rozgrzewającego liofa. Ok. 7 weszliśmy w lodowo-skalny kuluar. Wspinanie w nim w przeważającej części prowadziło w lodzie. Miejscami przechodziliśmy krótkie, skalne fragmenty. Po pięciu wyciągach pogorszyła się pogoda i zaczął sypać śnieg. Był tak gęsty, że widoczność spadła do ok. 10 m. W takich warunkach pokonaliśmy jeszcze dwa wyciągi i osiągnęliśmy dziewiczą przełęcz (ok. 5690 m n.p.m.). Warunki pogarszały się bardzo szybko, więc zdecydowaliśmy się na odwrót. Pięcioma zjazdami ze stanowisk założonych podczas wspinaczki osiągnęliśmy podstawę kuluaru. Kilku godzinny powrót w padającym śniegu ograniczają-

cym widoczność do ok. 20 metrów nie był łatwy z powodu bardzo trudnej orientacji na lodowcu. W końcu, około godziny 20, dotarliśmy do bazy. Zdobytą przełęcz nazwaliśmy Przełęczą Świętego Krzysztofa.

St. Cristopher Pass (Przełęcz Św. Krzysztofa, ok. 5690 m n.p.m.)- przełęcz w grani na końcu Doliny Tawa, I wejście Marek Żołądek i Michał Apollo, 27.08.2006, 7 wyciągów, trudności WI 4 M4, 18 h (samo wspinanie 9 h),

Serdeczne podziękowania dla naszych sponsorów za pomoc w realizacji wyprawy.

Sponsorzy główni:

Polski Związek Alpinizmu, Klub Wysokogórski Zakopane

„Społem” Zakopane, Extreme Sport, Free Rajdy.

Sponsorzy wspierający:

Marmot, Vasque, Marabut, gmina Niedźwiedź, Moszczenica Małopolska, Tendon, Koło Naukowe Geografów AP, Montano,

Patroni:

„Góry”- górski magazyn sportowy, Spotkania z Filmem Górskim, Tatry TPN, Roxy fm.



Podpis

Seniorzy z Łodzi i Warszawy na Kazbeku (5047 m n.p.m.)

Tekst i zdjęcia: **Andrzej Baron Skłodowski**

Podpis

Grupa łódzkich i warszawskich seniorów, wspomagana przez kilku kandydatów na seniorów, zorganizowała latem 2006 r. udany wyjazd na najwyższy szczyt Gruzji – Kazbek (5047 m n.p.m.). Korzystaliśmy z pomocy logistycznej łotewskiej agencji Zygmunta Grochowskiego – jednego z najwybitniejszych radzieckich i łotewskich alpinistów, który na szczycie Kazbeku obchodził wraz z nami i grupą swoich klientów 70 urodziny. Do Rygi dojechaliśmy autobusem, stamtąd samolotem do Tbilisi. Wynajęte sa-

mochody dowiozły nas do wioski Kazbegi, skąd na grzbiecie koni nasze bagaże dotarły do czoła lodowca na wysokości 3000 m. Przez dwa dni nosiliśmy sprzęt i żywność do budynku dawnej stacji meteorologicznej, zlokalizowanej u stóp Kazbeku na wysokości 3600 m. Stoi tam teraz prywatne, nieco zrujnowane (jak prawie wszystko w Gruzji) schronisko. Pogoda nas nie rozpieszczała – codziennie nad doliną przetaczały się burze, wysoko w górach sypał śnieg. Jan Kamiński (39) i Andrzej Perepeczko (50) ustawili

namiot na lodowcu na wysokości 4400 m i stamtąd 29 czerwca wspięli się na Kazbek. Dzień wcześniej na wierzchołku była – przy kiepskiej pogodzie – spora grupa Łotyszów z Grochowskim. Moja ekipa trafiła, po wyjściu aklimatyzacyjnym na ok. 4300 m, na okno pogodowe. Przy idealnych warunkach atmosferycznych i śnieżnych 30 czerwca na szczycie stanęli: Andrzej Piekarczyk (67), Marek Grochowski (64), Jacek Komosiński (64), Andrzej Skłodowski (62), Piotr Pietrzak (56), Marek Józefiak (52) oraz Iwona Mosiej-Skłodowska. W naszej górskiej przygodzie brał także udział m.in. Marek Janas (72), który – podobnie jak i ja – był na Kazbeku ponad 30 lat temu. Góra piękna i nietrudna – polecamy ją każdemu.

Podpis



Groza Gór

Jan Hobrzański

Na przełomie lat 60 i 70-tych śpiewało się na werandzie schroniska w Morskim Oku różne piosenki. Niekoniecznie nawet trzymając się kurczowo melodii (czego to się nie robi padając ofiarą własnego wdzięku lub dźwięku). Zdarzało się, że do piosenek „z nizin” dorabiano bardziej „górskie” teksty; Przebój „Él condor pasa” doczekał się przeróbki („Przelatywuje kondór – patataj...”) z użyciem najmłodniejszego wówczas słowa: „– Ach, ptaku mój – zmarznie ci łój...” (obowiązywało: – Ja łoję, ty łoisz... Czemu stoisz – czy się boisz?! – Ty nie stój – ino łój!) Magia „łojenia” nie mogła się obejść bez lęków, strachów, przerażenia... ewentualnie grozy; stąd popularna była zwłaszcza „górska” wersja „Zegarmistrza światła”. Zaczynała się mniej więcej tak:

„A kiedy przyjdzie także po mnie, Goprowiec w swetrze purpurowym,
by mi zabełtać błękit w głowie, to będę zimny i gotowy...”

Ciekawe, że „Groza Gór” nie obejmowała wyłącznie rejonu Tatr ani sezonu wspinaczkowego; co niektórych delikwentów potrafiła wytopić także na nizinach, a nawet... w domu. Doświadczyłem tego i ja, czego efektem był tekst popełniony „pod melodię” Kazimierza Grzeszkowiaka:

Okapy

Okropnie są przeraźliwe te okapy duże,
Kiedy o nich w noc pomyślę – oka już nie zmrużę.
Jakaś trwoga oraz dreszcze do rana mnie męczą...
– Nie rozumiem jak mimo to góry wciąż mnie nęcą?
Więc gdy w ścianie okap w drogę mi stanie,
Już to będzie moje niedoczekanie;
Jak nie zemrę – z miejsca – z jakiej zapaści,
Jużci zlecę pewno w przepaści...

Czy góry były wówczas inne – bardziej groźne? – Nie wiem...

Były niebezpieczne. Były tajemnicze, wspaniałe... (a nawet – „mohutne”).

– Ale nie były „za....ste”

Wielu nawet nie wie, że to wulgaryzm. Inni „wiedzą, lecz powiedzą”

– jakby próbowali czegoś sobie dodać, na pokaz. Czego? Odwagi? „Przebojowości”?

– Przecież nie klasy, bo i bez tego wspinanie może być kapitalne, świetne...

oblędne, niesamowite. A tak przy okazji – można nie lubić mamusi własnej albo cudzej... czy jakiejs sprawy,
że niby po łacinie – „krzywa”.

– Tylko, po co bluzgać...?

Nawet kiedy z wysiłku. Nawet wobec grozy gór, nawet jeśli robisz w portki...

A nawet z zachwyty. W ścianie, na obozowisku, w nocy, w Austrii...

Zresztą, gdziekolwiek, kiedykolwiek...

– I w ostatnim tchnieniu?

– Z przekleństwem na ustach?

Tym, co pamiętamy najbardziej z zeszłorocznego sezonu pozostaje chyba jego początek – iście atomowy! Jednego dnia padły *Wish* i *Superdireta* na Zerwie, i to w imponującym stylu. Jednak z tej okazji wypada redakcji A/Zero zjeść żabę, bo napisaliśmy kiedyś, chcąc podkreślić koniunkturę, że przewidujemy pokonanie *Wisha* w 17h. Nietrudno chyba zgadnąć, kogo mieliśmy na myśli – a tymczasem „Piecueri” nawalił na całej linii i nie poprawił czasu wykręconego ongiś przez Marcina i Kubę. Co prawda dla jego towarzysza była to pierwsza droga na Kazalnicy (sic!) ale fakt pozostaje faktem: najlepszy czas na *Wishu* to ciągle 20h.

„Roko” Rokowski i „Niedźwiedź” Szczotka załatwili tymczasem jednodniowe przejście *Superki* Kazalnicy. W archiwach widnieje jakaś niejasna informacja o jednodniowym przejściu słowackim z zimy 1986, ale nie udało mi się tego nigdzie zweryfikować i możliwe, że jest to jedna z tych „legend” które krążą w środowisku. Najprawdopodobniej więc było to pierwsze jednodniowe – 17h. Atutem „Roka” pozostaje jego niebywała zdolność ubierania letnich butów pośrodku zimy, dzięki czemu pokonuje trudny teren jak rakietą. Niestety – ta metoda nie posłuży wszystkim. Nie wierzyć? To spróbujcie.

Z kolei Maciek Ciesielski i Jasek Kuczera postavili kropkę nad „i” i połączyli przejście zimowo-klasyczne wszystkich wyciągów na *Sprężynie* na Kotle – chłopaki się zastrzegają, ale moim zdaniem nie ma wątpliwości, co do pierwszeństwa: choć wszystkie wyciągi były już uklasycznione wcześniej, to jednak przed nimi nikt nie połączył ich w całość. Trudności 7/7+.

Z ciekawych przejść trzeba jeszcze zauważyć dobry czas na *Filarze MSW* osiągnięty przez Jaśka Kuczerę i Pawła Bździała – 11h to tylko pół godziny gorzej od rekordu, który ciągle – mimo upływu kilkunastu lat – należy do zespołu Krzyśka Panikiewicza.

Niewątpliwie wyróżniającymi się były także przejścia odległej i niedostępnej wschodniej ściany Rysów – najpierw *Lewego Filara* przez Adama Krzystanka i Piotrkę Pawlusa (18h), a tuż po zakończeniu zimy *Komina Plaska* przez Wojtkę Kozubę i Piotrkę Sztabę – trudności 6 „narzędziowe”, i to OS!

Wspominałem o „narzędziowce” – i to sprowadza nas do Mnichowej Baby i dwóch najtrudniejszych obecnie dróg w Moku: *Ostatniego Dzwonka* i *Warian-*

tów Słoweńskich. Mocne zespoły pokonały te drogi klasycznie wyznaczając górną poprzeczkę trudności w „granicie” – zaczęło się do „prawie klasycznego” przejścia Kuby i Maćka na *Dzwonku*, a potem kolejne, mocne zespoły pokonały go już czysto. Powtórzone też zostały *Warianty Słoweńskie*, ale na trzecim wyciągu wystąpił niestety AF.

Nie odkryjemy nic nowego, gdy powiemy, że dwie do niedawna odrębne tendencje – trudna „narzędziówka” i przejścia dużych ścian – zaczynają i u nas powoli zmierzać do wspólnego punktu. Wydaje się, że taka właśnie będzie nasza zimowa przyszłość – trudne technicznie wspinanie klasyczne na coraz dłuższych drogach. Nie dajmy się jednak zwariować – to będzie sport dość elitarny. Nie ma żadnego powodu, aby nie uderzać na *Zerwę* czy *Kociół* w starym, dobrym stylu V+A0.

Wykaz Przejść

Nowe drogi i warianty

Bula pod Bandziochem

Bruce Lee i złodzieje dróg 7-;

Maciek Kubera, Jacek Obmiński i Artur Paszczak 2.03.2007 – nowa droga filarem Buli,

Toksyczne Kurczaki 7-;

Paweł Kopta i Piotr Turkot styczeń 2007 – nowa droga na prawo od *Globalnego Ocieplenia*.

Kociół Kazalnicy

Loteryjka 6 WI 3;

Andrzej Sokołowski i Jarek Woćko styczeń 2007 – nowa droga 120 m.

Kozi Wierch

Da się V A0;

Piotr Pawlus i Kuba Wrona 16.12.2006 – nowa droga na północnej ścianie.

Turnia Zwornikowa Cubryny

Siekierzada 5+;

Maciek Kubera, Zbigniew Skierski i Artur Paszczak 27.02.2007.

Wielka Mnichowa Baba

Nowy wariant do drogi WC Baba – prostowanie przez rysę w płycie (V) i dalej zacięciem (IV) Przemek Cholewa i Marcin Tasiemski (grudzień 2006.)

Ciekawsze powtórzenia

Bula pod Bandziochem

Bruce Lee i złodzieje dróg 7-;

Marcin Chmieliński, Paweł Przybysz i Robert Selerowicz 3.03.2007. – pierwsze powtórzenie drogi, OS.

Się nie robi 7-;

Michał Król, Andrzej Sokołowski i Bartek Trzciniński 29-12-2006. OS – pierwsze zimowe przejście klasyczne

Toksyczne Kurczaki 7;

Robert Grzanka i Andrzej Sokołowski 31.03.2007. – pierwsze powtórzenie drogi – propozycja podniesienia wyceny do 7,

Czołówka MSW

Psia Krewka 7;

Maciek Ciesielski i Jan Kuczera styczeń 2007 OS, **Starek – Uchmański 7;**

Mariusz Nowak i Alfred Sosgórnik grudzień 2006r. – pierwsze przejście zimowoklasyczne,

Szare Zacięcie 7/7+;

Marcin Tasiemski i Paweł Ziolo 08.01.2007. OS w 6 godz. – drugie przejście zimowoklasyczne,

Kazalnica Mięguszwiecka

Długosz 6 A1;

Krzysztof Skoczylas i Tomasz Szumski 17.03.2007.,

Superdirettissima VI A2+;

Robert Rokowski i Marcin Szczotka 28.12.2006. w 17 godz.,

Wish You Were Here V+ A3;

Stanisław Piecuch i Przemek Wójcik 28.12.2006. w 23 godz. – drugie przejście jednodniowe,

Kociół Kazalnicy

Cień Wielkiej Góry 6;

Andrzej Sokołowski i Jarek Woćko 05.01.2007.,

Orzeł z Epiru 7-;

Mariusz Nowak i Alfred Sosgórnik styczeń 2007. – prawdopodobnie drugie przejście zimowoklasyczne, propozycja wyceny 7-
Paweł Karczmarczyk i Jacek Kierzkowski 14.03.2007. OS – trzecie przejście zimowoklasyczne, wycena ok. 7-

Paszcz na pierwszym wyciągu *Siwego Dymu* A2+/A3.
Fot. St. Piecuch.

[illegible]A/ZERO **53**

Obóz zimowy KW Warszawa w Morskim Oku

Tekst: **Artur Paszczak**

Tegoroczny obóz, który odbył się na przełomie lutego i marca, odwiedziło w sumie 65 osób. Jest już tradycją, że ta zimowa impreza jest bardzo popularna i ma świetną atmosferę. Tym razem potrzeba było aż 7-miu instruktorów, którzy pomogli podnieść poziom swych zimowych umiejętności aż 34 osobom! Mam nadzieję, że adepci byli zadowoleni, ponieważ zestaw instruktorów był naprawdę pierwszorzędny i na moje oko wszyscy świetnie się bawili.

Jak zwykle, gospodarze Moka zapewнили nam wspaniałą atmosferę. Dzięki nim mogliśmy również wzbogacić nasze obozowe życie o pokazy slajdów i filmów. Baron przedstawił prezentację z wypraw na Marmolejo i Kazbek, obejrzelśmy film z Cerro Torre, odbyliśmy także wykład z topografii i tradycyjną pogawędkę o sprzęcie. Wszystko to razem bardzo urozmaicało nam wieczory, szczególnie gdy za oknem zawodziła wichura.

No właśnie – aura nam zdecydowanie nie sprzyjała. Zaczęło się jeszcze jako-tako i dzięki temu Marcin Chmieleński i Paweł Przybysz mogli pokonać *Długosza-Popkę* w całkiem niezłym czasie (6+, 1xA0). Potem pogoda zaczęła się psuć, jednak pomimo tego powstała na Turni Zwornikowej Cubryna nowa droga o nazwie *Siekierzada* (5+, Kubera-Paszczak-Skierski). Niestety, kolejne pogorszenie uniemożliwiło klubowiczom dokonanie powtórzeń. Następnego dnia, po wspinaczce na *Jagiello-Roju* na tej samej TZC, wyeliminowany z dalszej działalno-



Byliśmy w dobrych rękach. Fot. Paweł Kucharski

ści został Zbyszek Skierski – porwany podczas zejścia przez niewielką, acz energiczną pyłówkę, złamał nogę i to tak nieszczęśliwie, że powrót do formy zajmie mu wiele miesięcy.

W takich warunkach zespoły klubowe sztorowały głównie Bułę pod Bańdziochem, choć atakowano także Szpiglasowy, MSW, ćwiczone też zimowe „kible” i asekurację na lodowcu. Zespół Paweł Mróz i Piotr Wolski wytyczył nowy wariant prostujący do Żebra Buli, a Maciek Kubera, Jacek Obmiński i niżej podpisany przeszli bardzo ładną kombinację zimową *Lewej depresji* i *Błądzących pańienek* na Czołówce MSW.

Tydzień zakończył się wytyczeniem – ponownie na Buli i ponownie w „dupówie” – nowej drogi *Bruce Lee* i *Złodzieje dróg* o trudnościach 7-, która padła łupem wspomnianego zespołu Kubera-Obmiński-Paszczak. Linia ta została natychmiast powtórzona w osie przez Marcina Chmieleńskiego, Pawła Przybysza i Roberta Selerowicza. Jak zapewnia Chmiel, droga bardzo się podobała.

Stary schron. Fot. Paweł Kucharski



Wielka załupa na Siekierzadzie – na szczycie Paszcz. Fot. Zb. Skierski.

Czołówka Mięcusza, lewa część,
komb. Lewej Depresji i Błądzących Panienek
fot. J. Obmiński
oprac. A. Paszczak/P. Soczyński



Wykład w terenie... i w schronisku. Fot. J. Obmiński.



Choć brzmi to dziwnie, w kolejnym tygodniu nastąpiła dalsza deterioracja pogody, a wraz z nią i psychy uczestników. Paweł Karczmarczyk i Michał Ziółkowski musieli zrezygnować z oblegania *Fijała* na czołówce MSW ze względu na kompletny brak perspektyw na sukces. Znow więc wyświetlano filmy i pokazywano slajdy, odbył się też kolejny pokaz sprzętowy dla drugiego turnusu. Odwiedził nas także Darek Kałuża z TOPR, który przedstawił wykład o pierwszej pomocy, oceniony jako super-profesjonalny i niezwykle przydatny. Choćby dla tego jednego warto było zostać na drugi tydzień!

Obóz jak się zaczął, tak i skończył – mocnym przejściem. Tym razem Paweł Karczmarczyk i Jacek Kierzkowski wykorzystali poprawę pogody, jak wreszcie nastąpiła, i dokonali 3-go przejścia klasycznego *Oria* z *Epiru* 7-, na Kotle. Przejście zajęło cały dzień, ale odbyło się OS, za co obu chłopakom należą się wielkie gratulacje. Tym, którzy utracili wiarę na nadjeście warunków wyjechali wcześniej, dedykuję słowa Barona – oto jest głos doświadczenia:

„chcąc być wspinaczem, trzeba się nauczyć, że czasem trzeba po prostu posiedzieć spokojnie w schronie”.

Pamiętajcie o tym następnym razem!

Paszcz.



Błądzące panienki. Zdjęcie z przejścia drogi na Czołówce Mięcusza. Fot. J. Obmiński.

DÉJÀ VU

czyli lawina, której nie było

Tekst: **Artur Paszczak**

Zdjęcia: **Zbigniew Skierski**

Rodzi się w tym momencie pytanie, czy ryzykując odpowiednio długo musimy w końcu kiedyś ulec wypadkowi?

Otóż odpowiedź jest negatywna.

Nigdy nie musimy ulec wypadkowi.

Natomiast trzeba dobrze zdawać sobie sprawę, że zawsze możemy ulec wypadkowi.

Zb. Skierski, „Good time, Bad Time”

A niech tam nawet będzie, że Siekiera miał rację – dupiło!

Co ja mówię – dodupiało jak cholera! Jednak przez parę poprzednich dni wspinanie w syfie tak nam dobrze szło, że ani myśleliśmy – tzn. ja i Pastor – o pozostaniu w schronie. Siekiera istotnie coś tam mędził, ale on tak chyba przeważnie coś marudzi. Potem utrzymywał, że tego dnia to „szczególnie” i w ogóle, ale ja jakieś specjalnej różnicy nie zaobserwowałem. Wszyscy wiedzą, że Siekiera to „stary człowiek i może”, więc wzięliśmy go z Pastorem w obroty i nolens volens zaczął się szpeić. Myślę, że gdyby rzeczywiście miał jakieś przeczucie, to jako biegły w nauce Zen i tybetańskiej sztuce medytacji, Siekiera wpadłby w trans i jego ciało astralne by mu powiedziało, żeby nie szarżował, tylko został w domu. Ale Siekiera nie pogadał ze swoim ciałem astralnym, a my z Pastorem nie umieliśmy, tak więc koniec końców za to co się tego dnia zdarzyło, może Siekiera winić tylko siebie, ewentualnie nieodpowiedni „timing”.

Nie powiem, żebyśmy się śpieszyli. Droga miała być łatwa – Jagiełło-Roj, opisywany na IV, a i góra niedaleko – czołówka Cubryny. Czy też Cubryńska Kazalnica, jak się teraz mówi. Wyszliśmy koło 10-tej i dość szybko – biorąc pod uwagę podejściowe śniegi – dotarliśmy pod ścianę. No, prawdę powiedziawszy, ostatnie 50 m to chyba ryliśmy z godzinę – i muszę przyznać, że Siekiera nawet dawał zmiany, za to Pastor wymigiwał się jak zwykle, tu niby coś gmerał, tu herbatką częstował, tam znowu jakieś indiańskie wynalazki (kupione w Polsce) zapodawał i zawsze jakoś nie musiał ratrakować. W końcu, pewnie koło 12-tej, jednak związaliśmy się i poszli do góry. Pierwszy wyciąg był fajny, dwójkowy. Na drugim władowałem się za daleko, jakieś trawersy poderwane, spit jakiś, no to ja go raz w prawo raz w lewo i w końcu na drzewo. Przy tym drzewie miał być sztant, ale poszedłem dalej, piękną czwórkową skalną rynną, oczywiście w dujawicy i śniegu. Wkrótce doszli do mnie chłopcy, znowu piliśmy i jedliśmy (Pastor to mógłby w kwatermistrzostwie robić i byłby w tym lepszy niż Milo z „Paragrafu 22”), a potem trawersowaliśmy przez wielkie śnieżne pola i kosówki na lewą stronę ściany. Stamtąd, bardzo fajny wyciąg wyprowadził nas na koniec trudności – a tam zaskok – czyli uskok. Uskok

w lewo, płytowy i tak zalany verglasem, że nikt normalny by się w tych warunkach nie wpełchał. Swoją drogą, jest to ponoć bardzo łatwy wyciąg, ale wiercie mi, wtedy miałby co najmniej 6. Tak to już czasami jest w zimie – idzie jeden, ma loddek, firn, zabija sobie dziabki i nawet nie zauważa trudności. Idzie potem drugi; lodu nie ma, sytki śnieg tylko, i wbija zęby w gołą skalę i nadziwić się nie może, że to ledwie trójka była!

W takiej sytuacji napałem wprost w pionowy kominiek piętrzący się nad naszymi głowami. Wyglądał dobrze – ale jak już spadł z niego śnieg to okazało się, że jest zupełnie płytowy. Za przeproszeniem, dupy oderwać pod nim nie mogłem, i to pomimo bardzo zachęcających i pełnych wsparcia okrzyków kolegów w rodzaju „przestań się pieprzyć” albo „załoisz to” albo „zamknij oczy i zdaj się na Moc”. Ta ostatnia rada to była od Pastora, który dodatkowo zapewnił mnie, że obserwuje u mnie wzrastający szybko poziom midichlorianów i lokalne zgęstnienie mocy, i że muszę walczyć z ciemną stroną, czyli grawitacją. Zdałem się więc na instynkt i wyszedłem na prawą stronę kominka, którą złomotałem w powalających pyłówkach i równie powalającym stylu.

Wreszcie znaleźliśmy się w łatwym terenie, a to oznaczało jedno – śniegi. Cóż było robić, pożarliśmy ostatnie zapasy Pastora i rozpoczęliśmy znojny marsz ku wierzchołkowi Turni Zwrotnikowej, czyli Zwornikowej. Ryjąc śniegi sięgające pasa (co to znaczy w stromym terenie wiedzą tylko ci, którzy czegoś takiego zasmarkowali) zacząłem doznawać deja-vu, czyli „już widzianego”. Wyrażenie to pochodzi z języka francuskiego, który jest mi szczególnie bliiski, ponieważ uczylem się go prawie rok w towarzystwie uroczej nauczycielki, która miała „astralny komin” czy coś w podobie i „trzecie oko”, jednak pomimo tego nie dała mi rady niczego nauczyć. Może, gdyby potrafiła uwolnić swe ciało astralne, tak jak Siekiera, to szybciej bym robił postępy, a tak utknąłem na czasie przyszłym i tyle. Wspominam o tych metafizycznych elementach nie bez przyczyny, bo właśnie w owych śniegach Siekiera zaczął zdradzać pierwsze objawy braku synchronizacji ze swym eterycznym alter ego. Widział wszędzie lawiny, znacząco kiwał głową, robił czekaniem kółka na śniegu i takie tam. Torował nawet, bo

Pod ścianą Cubryny

uznał, że swoim siódmym zmysłem lepiej nas wysterylizuje. W końcu zaniemógł, a ponieważ Pastor przezornie nie pokazywał się zza końca liny, ostatnie metry do Turni dotorowałem ja i padłem na głębię jak kłoda. Zapadał wieczór, ale nas czekało już tylko bezpieczne (w tym roku) zejście *Deską Szulakiewicza*. Wnet – oczywiście – pojawił się Pastor, a wraz z nim jeszcze „absolutnie ostatnie” zapasy, które z rozkoszą skonsumowaliśmy. Nie wszyscy aczkolwiek, ponieważ nerwowość Siekiery objawiająca się chodzeniem w tę i nazad, pchnęła go w końcu do samotnego schodzenia deską. A pał go sześć – my z Pastorem dosiedzieliśmy w spokoju do końca zapasów (a trochę tego było) i podążyliśmy jego śladem. Nie mogłem się oprzeć powracającemu déjà-vu: upewniłem się, że nie jesteśmy związani i to mnie dopiero uspokoiło. Jednak w rozszerzeniu deski, ponad jej prawym obrywem, zatrzymałem się i wyjrzałem w czeluść. W dole, już w Mnichowym Żlebie, zobaczyłem małą figurkę Siekiery wymachującą dziarsko czekaniem marki „Vampir”.

– Popatrz – powiedziałem, gdy nadszedł Pastor – stąd właśnie polecałem. Sześć dych swobodnego lotu.

Pastor popatrzył kwadratowymi oczami.
– Chłopie, moc była z tobą – skwitował – żeś to przeżył, to cud.

Ucieszyłem się, że to powiedział, bo potwierdziło to moje wcześniejsze przypuszczenia. Tak wzmocniony duchowo, odszedłem parę metrów i klapnąłem na tyłek celem dokonania dupo-zjazdu.

Z cichym cmoknięciem, z wdziękiem jakimś nawet – urwała się wtedy deska i szumiąc przyjaźnie spłynęła do żlebu. Była szeroka, ale bardzo cienka, nie więcej niż 10 cm.

– Cha, cha, cha – ubawiliśmy się Pastorem, bo nie ma nic weselszego niż in flagranti z lawiną, która nam nie zagraża. W melancholijnych nastrojach, założywszy czółowki ruszyliśmy zjazdem w dół.

Jechałem szybko i przyjemnie, gdy zamajaczyła na mojej trajektorii postać Siekiery.

– Heja! – wołałem do niego wesoło – uhuu, jadę!

Ten coś machał i krzyczał, ale co ja bym tam usłyszał: zwolniłem nieco, ale i tak, dla zabawy, wpadłem na niego wraz z całą pchaną przed sobą kupą śniegu.

Siekiera rozdarł się wniebogłosy!

– Czego się drzesz?! – ofuknąłem go – lawinę wywołasz!

Siekiera tymczasem ciskał się po żlebie i ni to wrzeszczał – ni jęczał:

– Zła-ma-naaaaa! Lawina!

– Co złamane, jaka lawina? – zdumiałem się. Wokół nie było najmniejszego śladu żadnej lawiny.

– Dusila mnie, porwała, noga złamana!

Popatrzyłem na Siekię podejrzliwie w obawie, że coś mu odbiło. Słyszałem, że takie rzeczy dzieją się czasem w wyniku na przykład odwodnienia. Jednak gdy nadjechał Pastor, a Siekiera wciąż upierał się, że porwała go lawina i złamał mu nogę – przystąpiliśmy do oględzin. Złapałem go za kulsza:

– Aaaaaaaa!!! – faktycznie, coś go chyba bolało. Ale żeby zaraz złamane?

– Wstawaj Siekiera – poradziłem mu – zwichnąłeś kostkę i tyle.

Siekiera wstał i natychmiast padł.

– Uuuu, słabo – kompetentnie ocenił Pastor – nie pójdziesz. Może dajmy mu coś zjeść?

Spojrzałem na Pastora z ukosa. „No co?” – zdawał się mówić. No tak: zapas na czarną godzinę – rzecz niezbędna.

Wyglądało na to, że faktycznie nigdzie Siekiera sam nie pójdziesz. W tej sytuacji zadzwoniliśmy do Moka i poprosiliśmy do telefonu Grześka Bargła, dyżurnego ratownika.

– Cześć – zagailem – kolega nam tu nogę złamał i będzie potrzebna pomoc. Spadł z lawiną w Mnichowym Żlebie.

– Z lawiną? – przeraził się Grzesiek – natychmiast stamtąd odejdzcie!

– Spokojnie, tu w zasadzie żadnej lawiny nie było. To znaczy Siekiera twierdzi, że była, ale tak na prawdę, to innych dowodów nie ma...

– Była, no mówię, że była – włączył się Siekiera – dusila, wlokła...

Ofuknąłem go:

– Nie przeszkadzaj, z ratownikiem gadam. No więc jesteśmy bezpieczni – kontynuowałem – tylko noga chyba złamana.

– Dobra, zbieram się – odpowiedział nieco zdeorientowany Piotrek – tylko wyjdźcie lepiej z tego żlebu, żeby jakaś lawina...

– Dobra – przerwałem mu – wyjdziemy. Do zobaczenia.

Też mu się trafiło – był chyba na stażu, stawał pierwsze kroki w ratownictwie, a tu przyszło mu od razu iść na akcję i to do tego po samego Skierskiego! Chyba się trochę zestresował tym wszystkim, ale gadał rzeczowo i nawet coś tam nas poinstruował.

Tymczasem Siekiera opowiadał o lawinie. Otóż, gdy tak stał sobie zjednoczony ze swym astralnym ego, nagle w plecy wjechał mu rozpędzony tuman, w jednej chwili ogarnął go, zatkał ją, przydusił, wystrzelił w powietrze i porwał w dół. Wykręciwszy fikółka, Siekiera wbił się nogami uzbrojonymi w raki w śnieg i złamał nogę, zaś lawina rozsypała się po całym stoku. Na dodatek zgubił w trakcie tego wszystkiego dziabkę. Nawet chciałem ją znaleźć, ale mimo najlepszych chęci nie dałem rady.

W tej sytuacji zrobiliśmy z plecaka Siekiery coś w rodzaju małych sanek, czy też pulek, i rozpoczęliśmy transport w dół. Tak go burlacząc dotarliśmy nad staw, po którego przeciwległej stronie pobyskiwały już światełka czołówek ratunkowej ekspedycji.

Gdy zeszliśmy na lód, przykryła nas noc i mgła. Zmęczeni, ciężko dysząc, usiedliśmy na plecachach, zaś Siekiera pojeżdżał sobie cichutko.

I wtedy...

Wtedy z nocnej mgły wyłoniła się nieziemska zjawia. Sunęła nad powierzchnią stawu z szelestem łopoczących wielkich, czarnych skrzydeł. Mroczny welon skrywał ją od stóp do głów, a w rękę trzymała kostuszy kij. Lodowate tchnienie poprzedzało jej kroki.

Śmierć, po Siekię szła Śmierć...

Serca stanęły nam w piersiach. Śmierć frunęła wprost na nas i wrzeszcze...

– No, kolego Siekiera – powiedziała Śmierć – to się dziś ładnie nabroili.

– Cholera Baron, a co tym masz na plecach? – zdumieliśmy się z Pastorem.

– A – zachnął się Baron odpinając narty – dali nam te toprowskie plecaki i jak chciałem skrócić sobie pasek to pociągnąłem za sznurek od ABS-a i te cholery skrzydła się napompowały. Ale był huk! Przeszkadzają w tym wietrze jak jany gwint, ale schować się tego nie da!

Wtedy zjawiała się reszta ekipy: Bargiel, Duduś, Chmiel i chyba z pół obozu. Każdy chciał pomóc i każdy wiedział co robić, Zapanował potworny jazgot.



Stanowisko na *Siekierzadzie*, a w nim Pastor i Siekiera

– Dosyć! – wrzasnął Grzesiek – ja mówię, reszta wykonuje!

Uuuu – wszyscy z uznaniem popatrzyliśmy po sobie – uczą ich tam czegoś w tym Toprze jednak! Ciska faktycznie zapadła, zaś Siekiera został sprawnie załadowany najpierw w szynę Kramera, a potem w pulki. Za parę minut byliśmy w domu.

Wkrótce Siekię zabrało pogotowie. Pojechałem z nim w charakterze towarzysza. W Zakopcu zrobiono mu zdjęcie, które ukazało pogruchofaną piętę, złamaną jak zapalka piszczel i jeszcze kilka innych złamań. Z wrażenia niemal zemdlałem – nawet ja, ignorant, widziałem całą tę masakra. Nie mieściło mi się to w głowie. Dość szybko i bardzo sprawnie miejscowe doktory składały Siekię do kupy, podczas gdy on w kółko ich zapewniał, że to jego „pierwszy wypadek od trzydziestu lat wspinania” i wesoło przy tym porochotywał, na co nie bez wpływu była zapewne tabletki „głupiego jasia”, którą mu podano. Na koniec wreszcie zaplastrowano go w gips. Tak oporządkowany, Siekiera pojechał się kurować do Jana Muskata, ja zaś, zakupiwszy jednostkę Stock 84 wróciłem do schronu uspokajając skołataną nerwy. Jakoż i nie zawiodłem się – gdy o 2 w nocy przemaszerowałem do Moka, w Starym Schronie paliło się jeszcze światło. W kuchni, wierni przyjaciele, na których zawsze można w górach liczyć, dolatywali właśnie do końca flaszeczki, pijąc w intencji Siekiery.

Oceniono, że Stock przybył w samą porę...

Ostatnie kuszenie Pai'sza'

Tekst: **Pas'tor**
Zdjęcia: **Ya'ca Obmiński**

Lata przygotowań, miesiące wyrzeczeń i medytacji, tygodnie oczyszczającej diety kaszowej zaaplikowanej przez mistrza C'hmie-la z naszego wysokogórskiego klasztoru, aż nadszedł wreszcie ten długo oczekiwany dzień. Nadszedł czas ataku filarem Buli Bandziocha – drogą owianą mitem i legendą, niepowtórzoną nigdy i przez nikogo, drogą o niepewnym przebiegu i mistycznych trudnościach. Nadszedł ten długo oczekiwany moment, aby zmierzyć się ponownie z grawitacją.

Nasze umysły – niezmacone myślą – gładkie niczym tafla lodu na stawie. Nasz ciała – wytrenowane do granic ludzkich możliwości. Nasz cel – widoczny z werandy, na której kończymy ostatnią porcję jajecznicy, parząc gardła aromatyczną schroniskową kawą.

Jak zwykle wyruszam pierwszy dzielnie torując przez staw. Śnieg po pachy, ale z niezmaconym spokojem po 15-to minutowym ryciu tunelu, docieram pod ścianę. Dochodzą pozo-

stali: mistrz Pai'szu' i akolita Ya' cy. Jak w transie przebiegamy łatwutkie zeberko porośnięte tu i ówdzie kosówką aby wejść do żlebu, gdzie zaczyna się piękny wyciąg w trawach. Mistrz Pai'szu' asekuje się przy pomocy trzech śrub trawkowych na tym długim i bardzo trudnym z plusem wyciągu. Pion traw fascynuje, daje poczucie fizycznej do bólu radości z pokonywania terenu, z przemieszczania się w górę. Każde wbicie dziaby rozbłyska w pustym umyśle niczym buddyjskie satori. Każdy ruch jest przebudzeniem, każde napięcie mięśni - niekończącą się mantrą. Umysł chłonie bodźce nie analizując ich. Dzięki temu są czyste i nieskazitelne, odbijają się w nas jak dźwięki dzwonu w храmie. Wykręcenie warthoga, błysk tafla stawu w kąciu oka, zimny płatek śniegu na twarzy łączą mnie transcendentalnie z wszechbytem świata. Prozaiczne czynności stają się podczas wspinaczki święte. Klarowanie liny – jak dźwięk kłaśnięcia jedną dłonią, kopanie półki – jak

„Trzech z rodu Ko i dwóch z rodu Wo”, wyciąg staje się Koanem, a do mnie w końcu dociera, że reverso – podobnie jak pies czy skrobaczka do błota – też ma naturę Buddy.

Przed nami najwyższe spiętrzenie, długo opracowujemy taktykę. Czujemy moc wytwarzaną przez midichloriany w naszej krwi. W końcu Mistrz Pai'szu' napiera, walka w okapie jest intensywna. We dwóch podpieramy mistrza wzrokiem. W pewnym momencie słyszę:

– Drodzy moi – mówi Pai'szu' – wybaczenie, ale muszę przyzerać.

Na takie dictum świat wali mi się pod nogami a całe życie przebiega przed wzrokiem w ułamku sekundy – co za klęska!

– Pai'szu' – krzyczę – nie ma mowy, musisz to zrobić klasycznie!!!

Widzę naraz mglistą, czarną postać, która wylania się znad przewieszki i wyciąga rękę do Pai'sza'.

– PAI'SZU' – kusi zjawa odziana w czarne kimono do Kung-fu z potrójnym pasem Złotego Smoka – DAJ RĘKĘ, POMÓŻ CI!!!!

Dmuchać z całej siły. Wytworzony w ten sposób wiatr rozprasza widmo a tam gdzie była przed chwilą dłoń kung-fungisty, w szczelinie tkwi Camalot.

Mistrz toczy ze sobą walkę wewnętrzną. Przy mknięcie powieki, błada twarz – jakże łatwo jest zejść na ciemną, hakową stronę mocy. Stamtąd nie ma już powrotu do klasyki.

– Nie rób tego – krzyczymy – napieraj klasycznie!!!

Nagle twarz mistrza rozświetla niesamowity blask, otwiera oczy i sięgając po najgłębsze zasoby midichlorianów, zadaje ze szmaty i przechodzi przewieszenie. Był to crux naszej wspinaczki, wyceniony w zaciszu górskiej chatynki na 7-.

Reszta wyciągu przebiega w przyjemnych szóstkowych zacięciach i ma wydźwięk młynków modlitewnych. Szczytowe plato jest hosanną bułek z kielbasą i pieśnią kawy nalewanej z litrowego termosy. W tym leżeniu na plecach, w leniwym słońcu i zimnym śniegu, w świątyni cyrku skalnego, w kadzi Czarnego Stawu chrzcimy nową drogę.

Oto nadajemy Ci imię: *Brus Li z Złotziej Drogi*.

„Orzeł K.W.” Nagroda Klubu Wysokogórskiego Warszawa za rok 2006.

Jak co roku nagroda przyznawana jest w dwóch kategoriach: przejścia górskie i przejścia skałkowe. Decyzją Zarządu nagrodę „Orzeł KW” za rok 2006 w kategorii „przejścia górskie” otrzymał: Piotr Morawski za Tryptyk Himalajski, czyli zdobycie w sezonie 2006 – 24 kwietnia 2006r. Cho Oyu (8201 m) 21 maja 2006r. Annapurny Wschodniej (8010 m) i Broad Peak (8047 m) 9 lipca 2006r.

Nominowani w tej kategorii poza Piotrem byli:

- Michał Król i Przemysław Wójcik za działalność w Dolinie Miyar w Himalajach – wytyczenie nowych dróg na Tama Donong *Skazani na Miyar* VIII- 1000m i na Geruda Peak VII+ 1xA0, lód 60° 900m,
- Anna Czerwińska za pierwsze polskie kobiece wejście na Makalu (8463 m)
- Kinga Baranowska za wejście na Broad Peak (8047 m),
- Marek Żołądek i Michał Apollo za wytyczenie w Dolinie Miyar nowej drogi na dziewiczym szczycie Masala Peak WI 4 800m,
- Marcin Miotk za wejście w Pamirze na Pik Korzeniowskiej (7105 m) i Pik Komunizma (7495 m).

W kategorii „przejścia skałkowe” Zarząd zdecydował nie przyznawać nagrody za rok 2006 a jedynie wyróżnić Stanisława Kieniewicza za przejście w Gorge du Tarn m.in. drogi *Arnaque.com* 8a RP.

Nominowani w tej kategorii poza Staszkiem byli:

- Maria Maciszewska za osiągnięcie poziomu VI.3+/VI.4
- Jakub Ziolkowski za przejście na Górze Zborów drogi *Wściekłe Psy* VI.6+ RP
- Dawid Kaszlikowski za eksplorację sportową w Mali

Wszystkim nominowanym i wyróżnionym w obu kategoriach serdecznie gratulujemy i życzymy podobnych sukcesów w kolejnych latach.

Zarząd K.W. Warszawa

Zamarła Turnia, ściana pd.-wsch. i przełamanie ścian (tzw Kant Zamarłej).

Drogi i ważniejsze warianty, stan obecny (przy czym nowe drogi z lata 2004 i projekt z 2004 zaznaczono kolorem czerwonym).

1. **Zacięcie Komarnickich, V+**, lp całości 1946, zacięcie 1909.
2. **Tarnowskie Derby, VI+**, OS, nowa droga z 2004, Marcin Michalek i Adam Pieprzyci.
3. **Prawa Pilchówka, V+**, lub VI war. prost., lp całości 1974 (do platformy w Zacięciu Komarnickich to Komin Marusarza, pokonany już w 1909 r.).
4. **Prawi Wrześniacy, V+**, 1939; klasycznie najpóźniej 1969.
5. **Sayonara, VIII+**, 1988, klasycznie 1992 (2S).
6. **Droga klasyczna, V**, 1910; bez asekuracji 1927; zimą 1934.
7. **Kant Heinricha (Prawy), VII-**, 1970, 1pk 1979, zimą 1972.
8. **Tradycja, V+**, **A2+** (8m), nowa droga z 2004, robiona od dołu, Mariusz Nowak i Marcin Szczotka.
9. **Kant Pietscha, VII+**, 1951, 1pk war. oryg. 1980, zimą 1960.
- 9A. **Tzw. Wariant Malczyka, VII-**, na lewo od war. oryg., 1978.
10. **Projekt Flowera**, 2004, **VIII?**, A0 (z dołu).
11. **Jargiło-Pačkowski, VI+**, 1978; 1 pk 1981; zimą 1982.
12. **Wariant Kolarza, Z Motyką na Słońce, VIII-**, 1996, 1 przejście klasyczne 2004, 4 spity (+2S stanowiskowe).
- 12A. **Wariant Heliosa, V-VI**, (samotnie ?), ok. 1984.
13. **Droga Motyki, V-**, 1935; zimą 1939.
- 13A. **Wariant Bracha i Wójcika, V**, 1938.

14. **Łabędzi Puch**, nowa droga z 2004, **VII**, OS, Janusz Porożyński i Artur Paszczak.
15. **Siedlecki-Wicherkiewicz, V+**, 1943.
- T. **Trawers Zamarłej, V**, 1932; zimą 1952/53.

UWAGA.

Latem 2007 w ramach akcji TBM zostały na Zamarłej Turni wykonane prace re-ekiperskie. Asekuracja odbywa się obecnie przy użyciu „zestawu standardowego” (małe i duże friendly do nr 3 lub camalota nr 2, kostki). Poniżej aktualizacja obecnego stanu dróg:

Prawi Wrześniacy

Stanowiska z dwóch spitów i łańcucha, na wierzchołku stanowisko umożliwia zjazd na obie strony. Wyciągi długości maks. 40m. Droga wyczyszczona ze stałych haków niemal całkowicie: in situ pozostało ok. 10 haków, z czego 5 jest nowych (Grivel). Przygotowany został tylko wariant wyjściowy VI+.

Klasyczna

Stanowiska z jednego spita oraz starego haka lub kostki (kostek). Wyciągi maks. 40m. Usunięto najgorzej prezentujące się stałe haki w liczbie ok. 10, niemniej na drodze pozostała jeszcze znaczna liczba starego żelaza. Na Górnym Trawersie dobite zostały (w miejsce usuniętych haków) 2 spity w kluczowych miejscach.

Prawy Heinrich

Stanowiska z dwóch spitów (jedno dodatkowo z łańcuchem) za wyj. wspólnego z Klasyczną. Wyciągi po maks. 40m za wyjątkiem drugiego VII-; ok. 50-55m - możliwe jest jednak założenie dobrego stanowiska z kości na półce po 20m. Oczyszczony niemal całkowicie ze starych haków - pozostało ok. 6. Dobito 2 spity i 2 nowe haki Grivela na wyciągu „przez dziób”, oraz 1 nowy hak i 1 spit na kolejnym.

Jargiło-Pačkowski

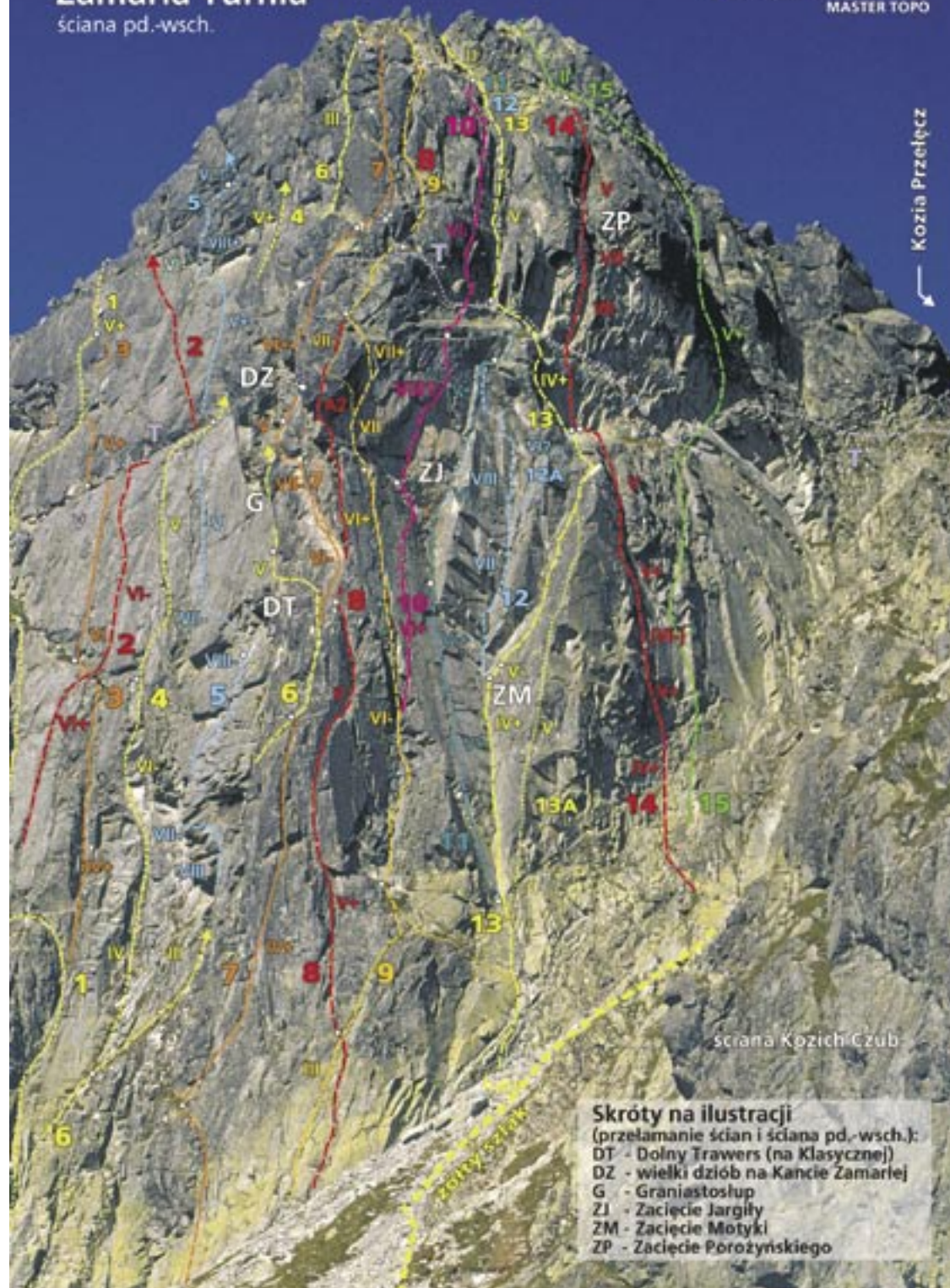
Stanowiska ze spitów, pierwsze z łańcuchem, drugie z 3 spitów, dwóch starych i nowego (lub dojście do Motyki - 1 spit), trzecie na wierzchołku - łańcuch. Wyciągi maks. 45m. Droga oczyszczona niemal całkowicie z żelastwa; in situ ok. 3 stare i 3 nowe haki.

Motyka

Stanowiska z jednego spita jak na Klasycznej. Haki usunięte niemal w całości za wyj. zacięcia. Wyciągi po maks. 45m (wyjściowy). Na wyciągu wyjściowym dobito jeden hak, in situ 3 haki stare.

Zamarła Turnia ściana pd.-wsch.

© Fot. i oprac. Grzegorz Głazek
MASTER TOPO



Skróty na ilustracji

(przełamanie ścian i ściana pd.-wsch.):
DT - Dolny Trawers (na Klasycznej)
DZ - wielki dziób na Kancie Zamarłej
G - Graniastosłup
ZI - Zacięcie Jargiły
ZM - Zacięcie Motyki
ZP - Zacięcie Porożyńskiego

Bula pod Bańdziochem

Omówienie dróg w środkowej części

Zimą 2007 powstały na naszej najłatwiej dostępnej ścianie zimowej (tylko 30 min. podejścia) 2 nowe drogi. Obie rozwiązują wolne fragmenty skały leżące w środkowej części, w okolicach centralnego zacięcia z drogą *Malczyk*.

Ogólnie rzecz biorąc, Bula osiąga w tej części swoją kulminację, licząc prawie 200m wysokości. Oczywiście, większość dróg jest krótsza, niemniej powspinać się jest gdzie. Każda z przedstawionych linii stanowi niezłą alternatywę dla popijania piwka w dni gorszej pogody, lub też w przypadku późniejszego powstania. Nazwa *W samo południe* nie wzięła się bowiem przez przypadek...

Pierwszą drogą na *sensu stricto* północnej zerwie Buli była droga *Malczyk* z 1983 roku, choć na pocz. lat 80-tych Dariusz Motyl przebył *Żleb*, ale ten omija skalne partie. Potem ściana poszła w zapomnienie, atoli urządzano na niej jakiś treningowe hakówki, czasem ktoś wspiął się dla zabawy grzędą po prawej, nie zdając sobie sprawy z tego, że dokonuje jakiegokolwiek eksploatacji. Bulę nazywaną „Pluskwą” i nie traktowano poważnie. W 1989r 3 nowe drogi jednego dnia

zadeklarował w prawej części Krzysztof Łoziński, ale relacje naocznych świadków, jak też niezgodność terenu z opisem nakazują wątpić, czy drogi te zostały faktycznie przebyte do końca. Wydaje się – niczego jednak nie przesądzając – że należy je traktować wyłącznie w kategorii prób. I tak „Pluskwa” przetrwała w stanie hibernacji do zimy 2000 roku, gdy w trakcie panującej „dupowy” Jacek Fluder i ja, wypatrzyliśmy podczas spaceru zupełnie fajną linię trawek. Wróciliśmy do schronu po sprzęt i tak rozpoczęła się rekonkwista Buli, o której

Władysław Cywiński napisał, że była „iście kopernikańskim odkryciem”, a która zakończyła się wytyczeniem gęstej siatki dróg i wariantów. Traktując to wszystko z należytą dozą dystansu i humoru zaznaczyć trzeba, że ku zaskoczeniu wszystkich wspinaczki na Buli okazały się i trudne, i ciekawe, i przyjemne. A czego więcej oczekiwać od gór, zwłaszcza, gdy nie ma warunków na ambitniejsze cele?

W *samo południe*, 5+, 3h. Jacek Fluder i Artur Paszczak, 15.01.2000.

Pierwsza droga zimowa po „ponownym odkryciu” ściany Buli, obecnie jedna z najpopularniejszych. Także – jedna z dłuższych. Warto robić ją do końca i nie uciekać śnieżnym zachodem, gdyż ostatni wyciąg jest zajmujący, no i wyprowadza na Wierchołek! Co ciekawe, droga powstała w założeniu jako żart, a „odkrytą” na nowo ścianę ochrzczono mianem „Małej Kazalnicy”. Wkrótce miało się jednak okazać, że żart zamieni się w zimowego klasyka!



Po zwycięstwie czacha dymi. Fot. J. Obmiński.



Bula pod Bańdziochem

środek ściany pn

oprac. A. Paszczak, fot. J. Obmiński



Grzesiek Mróz i Piotrek Wolski na swoim wariantcie do Żebra Buli. Fot J Obmiński.

Crux drogi znajduje się na drugim wyciągu, gdzie ok. 10 metrowy odcinek piątkowego wspinania doprowadza do brzuszka skalnego, który pokonujemy śmiałym wyjściem w trawę. Kolejne wyciągi są łatwiejsze, acz wspinaczkowe. Warto zabrać 3 igły trawkowe i 5 haków: 2 cienkie (lost arrow, stiletto), knife, 2 małe/średnie falki. Jak zwykle w rezerwie powinna wisieć jedyńka. Pamiętajmy, aby po jej wbiciu, „wesoło sobie w niej zadymać”, bo to stanowi kwintesencję wspinania.

Do tego oczywiście kostki i friendly. Na drodze zaledwie kilka stałych haków.

W samo południe stanowi ładną, zimową turę w klasycznym skalno - trawiastym terenie, i może być kolejnym krokiem dla zespołu, który odbył już wspinaczki np. na Wesołej zabawy i szuka czegoś trudniejszego. Jak zawsze zimą – odbiór trudności bardzo zależy od warunków.

Globalne Ocieplenie. 6+, 2.5h, Paweł Kopta i Adam Pieprzycki, 02.02.2003.

Także jedna z pierwszych dróg na Buli. Ciekawe wspinanie wiodące logicznymi formacjami, co pomimo krętości drogi zapewnia jej naturalny przebieg. Niewątpliwie warto pomyśleć o wyprostowaniu – oto i problem dla kolejnych pokoleń eksploratorów!

Wspomina Adam Pieprzycki:

„W tydzień po tragedii pod Rysami, razem z Miruą wybrałem się do Chatki. Warunki były fatalne – raz nawet zawróciliśmy spod Ucha pod Kazałnicą Cubryńską. Zgodnie z duchem plakatu TNF – ‘Never stop exploring’ działaliśmy na ‘ścianie ścian’. Pierwsza pod młotek poszła droga o wszystkim mówiącej nazwie „Defekt mózgu” przełamująca pięknoduchostwo w nazywaniu dróg na tej zerwie. „Globalne...” było następne, a poranne ocieplenie, –27 stopni C, od razu narzuciło nam jak będzie nazywała się droga.

Linia oferuje 5-tkowe trudności mixtowe. A0 na samym starcie nie mające znaczenia – to tak, aby „styl zimą nie stał się obsesją”. Na drodze można znaleźć ładne wspinanie na 3-cim wyciągu - poprowadzonym przez Pawła. Wszystko działo się przy przeraźliwym zimnie, dużej trzęsione i „klejeniu” się metalu do skóry. Śniegu też było więcej niż normalnie. Pokrywa lodu na Czarnym Stawie po niedawnym wypadku obniżyła się o pół metra. Po wspinaniu spotkał się także z mocnymi chłopakami, którzy zdecydowali się tylko na treningową wspinaczkę na pierwszym wyciągu Ostrogi. Warunki nie rozpieszczały....

Ale co tam – Asceta ostatnio odszedł do Chatki, ale tej niebieskiej. Pozostała „śmieszna” droga na nieistotnej ścianie i wspomnienie miłych chwil w górach.

Oby do zimy i napierania w ścianach – może większych niż Bula.”

Sprzęt: 5 haków, kości, friendly.

Projekt, Adam Pieprzycki i Robert Rokowski, zima 2007

Na razie w formie 2-3 wyciągowego wariantu do „Południa”. Realizację drogi uniemożliwiło złamanie dziabki.

Toksyczne Kurczaki, 7, 2.5h, Paweł Kopta i Piotr Turkot, 13.01.2007

Nowa droga, rozwiązująca wyraźne, kruche zacięcie przecinające przewieszony uskok na prawo od „Południa”. O drodze tak pisze Paweł:

„Drugie stanowisko jest przy charakterystycznych drzewkach w ścianie. Podobno Limby.

Drugi wyciąg najtrudniejszy jest na końcu, pod drzewkiem, które ratuje sytuację i zaraz tam jest sztan. Kierować się na tą limbę (narzuca się). Na tym wyciągu zostały chyba dwie jedyńki. Później, od stanowiska przy drzewach, nieznacznie w lewo i dalej skośnie w prawo pod okapik, który trawersujemy w prawo i do góry w kierunku niedużego, ale bardzo ładnego zacięcia. Po wyjściu sztan z kosówki”.

Sprzęt: 7 haków w tym jedyńka i knife oraz 2 małe falki, kości, friendly.



Seria zdjęć pokazujących trudności 7- na Bruce Lee, wspina się Paszcz. Foto 3. – kluczowe sięgnięcie do kępy trawek. Fot. J. Obmiński.



„Złodzieje dróg” w komplecie. Fot. J. Obmiński.

Droga Malczyka, VI, Ryszard Malczyk i Ryszard Papaj, 02.04.1983.

Droga historyczna, stanowiąca wciąż – z powodu braku powtórzeń – wielką niewiadomą. Zastanawia szczególnie to VI – każdy, kto widział ten ponury, mokry i kruchy teren musi pomyśleć – „jak on u licha przeszedł to klasycznie 2 kwietnia?!” Może więc były bardzo dobre warunki i ciepło, a drogę pokonano w letnim obuwiu? Nie wiadomo – trzeba rozpoznać bojem...

Bruce Lee i Złodzieje dróg, 7-, 3h, Maciej Kubera, Jacek Obmiński, Artur Paszczak, 2.03.2007.

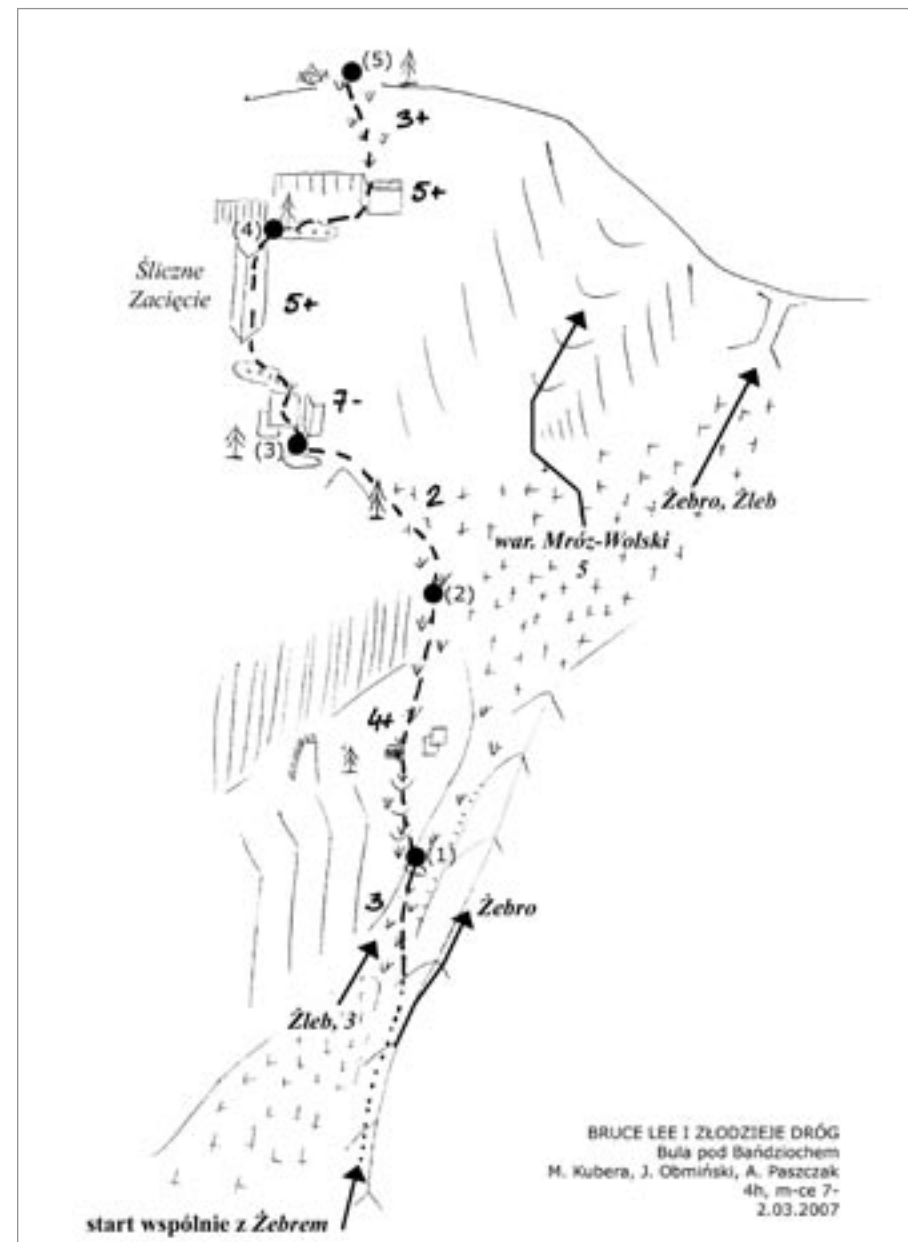
Droga jest wynikiem podjęcia próby weryfikacji w terenie istnienia *Żebra* wg opisu K. Łozińskiego. Terenu zgodnego z relacją nie znaleziono, natomiast usiłując pokonać ścianę w możliwie najłatwiejszy sposób udało się wytyczyć linię naprawdę pięknej wspinaczki, nasyczonej trudnościami i niezwykle urozmaiconej. Jestem pewien, że *Bruce* stanie się wkrótce kolejnym klasykiem, gdyż tak oryginalnego wspinania – najpierw w trudnych trawkach, potem w skale, a w końcu w pięknych, mikstowych zacięciach – trzeba w okolicach Moka szukać z przysłowiową świeczką.

Wejście w ścianę następuje albo linią właściwego *Żebra* (1-2 wyciągi do żlebu), albo wprost ze *Żlebu*. Ze stanowiska w żlebie staruje się w ewidentną depresję wiodącą wprost w górę, lekko leżącą boczną ścianą filara *Buli*. Po wyjściu na śniegi, łatwiejszy teren wyprowadza w lewo na platformę z drzewem, skąd kluczowy wyciąg 7- wiedzie pod *Ślicznym Zacięciem*. W trudnościach asekuracja z haków lub małych friendów, a samo miejsce łączy elementy techniczne z siłowymi. Dalej *Ślicznym Zacięciem* w przepięknej, unikalnej wręcz wspinaczce, na kolejną półkę pod krótkim zacięciem (stan) skąd – pokonując nietypowy odcinek 5+ – na wierzchołek *Buli*.

Pytano mnie, skąd taka nazwa? No, z życia jakby...

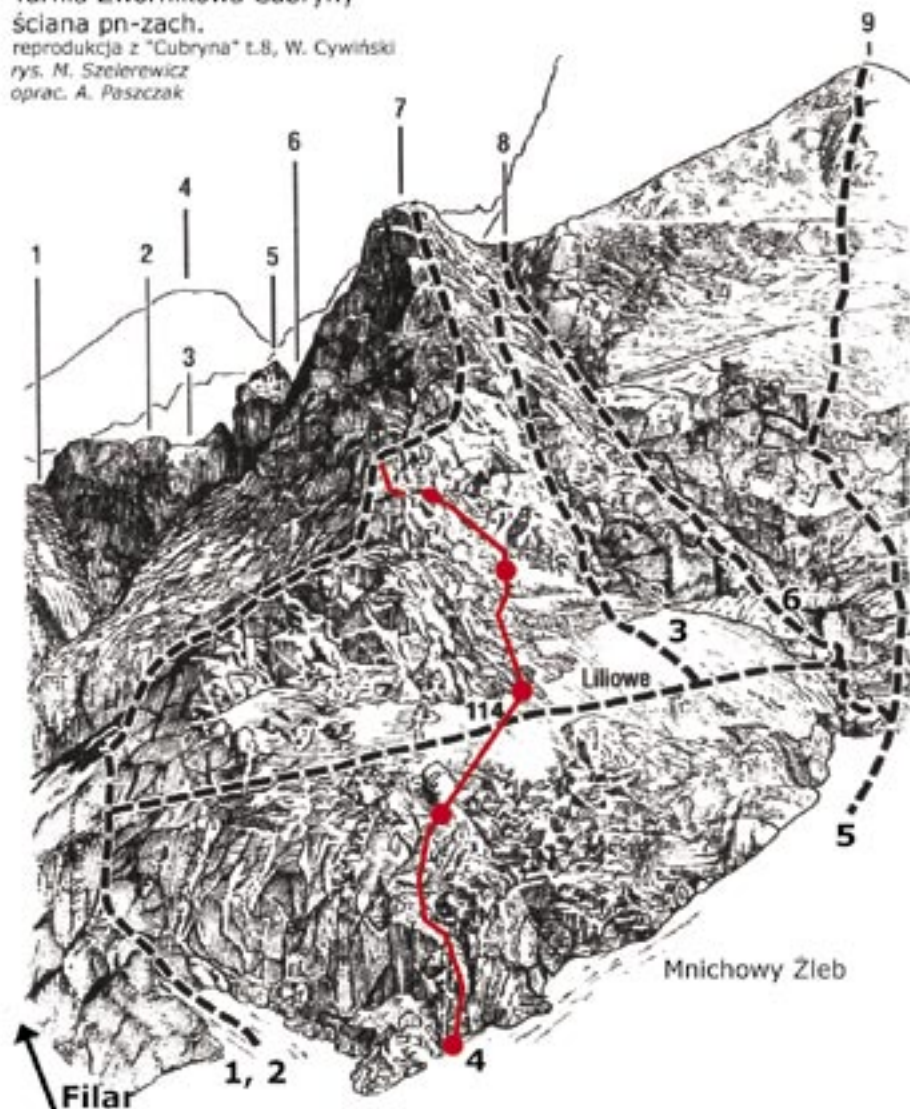
Sprzęt: 4 igły trawkowe, 7 haków (knife, 2 cienkie łyżki, 3 fałki, rynna), kości i friendy.

Paszcza po przejściu *Bruca*. Fot. J. Obmiński.



Podpis

Turnia Zwornikowa Cubryny
ściana pn-zach.
reprodukcja z "Cubryna" L.B., W. Cywiński
rys. M. Szeleńiewicz
oprac. A. Paszczak



1 - Niżni Cubryński Przechód, 2 - Cubryński Koń, 3 - Pośredni Cubryński Przechód, 4 - Mięszuszowiecki Szczyt Czarny, 5 - Cubryńska Igła, 6 - Wyżni Cubryński Przechód, 7 - Turnia Zwornikowa, 8 - Przelączka za Turnią Zwornikową, 9 - Cubryńska Kopka

1. Wariant do Prawego Filara 2. Wariant wejściowy do "Talonu"
3. "Talon na balon" 4. "Siekierzada" 5. Pn. ściana
6. Deska Szulakiewicza

Turnia Zwornikowa Cubryny

Ściana północno-zachodnia

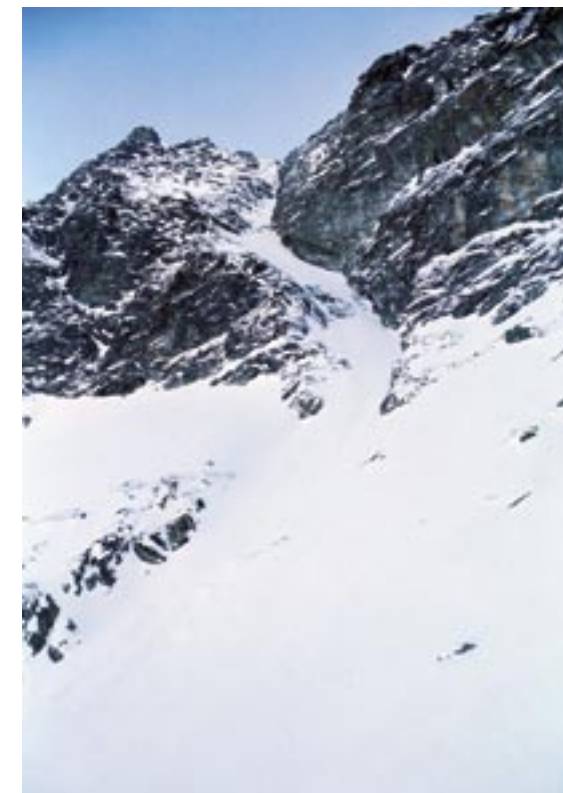
Ściana ta, wysoka na ok. 150m, leży pomiędzy Żlebem Szulakiewicza a ostrzem Prawego Filara. Opada szeroką kulisą do Żlebu Mnichowego, ale jej jednorodność psuje niestety leżący w 1/3 wysokości wielki, poprzeczny trawnik zwany Liliowem. Śmiało można powiedzieć, że była to do tej pory ściana zapomniana – wiodła nią tylko jedna droga – *Talon na Balon*, poprowadzona przeszło 20 lat temu przez Krzysztofa Łozińskiego – nieustrzonego eksploratora przeróżnych zakamarków Moka, które z wielu względów unikały uwagi jego współczesnych. Dziś, stopień wykorzystania i eksploracji ścian osiągnął taki poziom, że w poszukiwaniu wolnego terenu zwracamy oczy na coraz to nowe ściany i ścianki, i – nierzadko ku swemu zdziwieniu – odkrywamy tam rasowy, wspinaczkowy teren. A dotyczy to szczególnie zimy.

Pn-zach. ściana Turni Zwornikowej jest bardzo dobrym uzupełnieniem oferty Mnichowych Bab (tudzież Mnichowych Pleców), szczególnie w okresach złej pogody. A że taka właśnie panowała na naszym obozie, to i na Turnię padł nasz wybór. Ściana ta kulminuje się w charakterystycznej, przewieszzonej turni, którą przerzyna wszakże od prawej, biegnąca skośnie w górę i w lewo - wielka załupa.

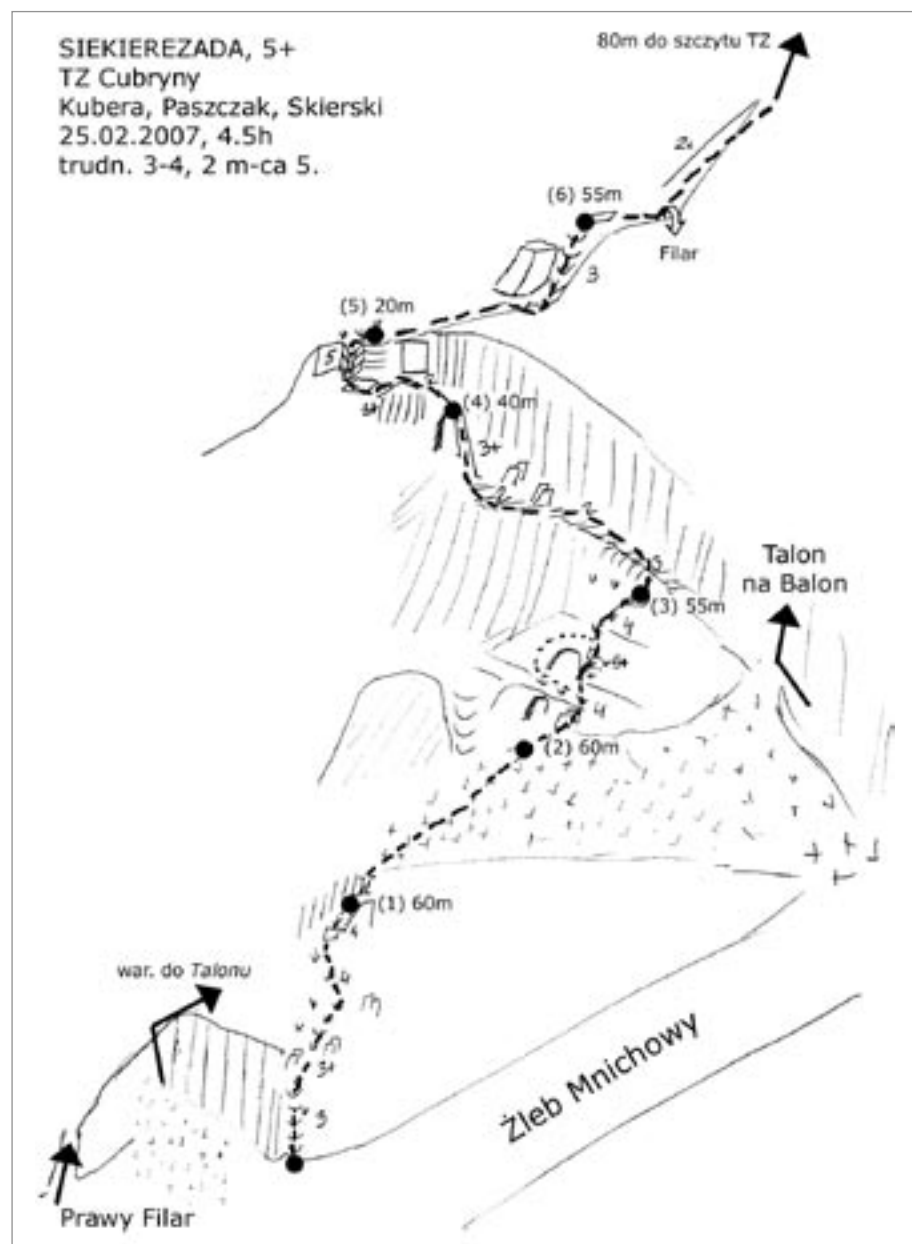
Terenu na poprowadzenie nowych dróg jest jeszcze sporo, i sądzę, że w najbliższej przyszłości zobaczymy tam jeszcze kilka nowych, ciekawych wspinaczek. Teren nie jest banalny i umożliwia fajny drajtuling.

Zejscie z TZ odbywa się albo poprzez wspięcie się do Gale-

rii i stamtąd do Mnichowego Żlebu, lub wygodniej, ale uważniej, Żlebem Szulakiewicza (zwanego też Deską), także do tegoż żlebu. W zejściu należy zachować ostrożność, bo bywa lawiniasty, i albo rozwiązać się na górze, albo stosować lotną przynajmniej asekurację. W żadnym razie nie należy iść związanym bez zakładania przelotów, gdyż od dołu Deska jest poderwana i niebezpieczna.



Deska Szulakiewicza: zejście z TZ Cubryny. W lewej części widoczna rampa, którą biegnie *Siekierzada*



Wariant wejściowy do prawego Filara, ok. II

Oryginalne wejście znajduje się w zatoce śnieżnej leżącej poniżej.

Trawers Ratowników, II

Niekiedy uczęszczany, ważny ze względów ratowniczych. Może stanowić osobny wariant wejściowy do dróg 3 i 4.

Siekierzada, 5+, 4.5h, Maciej Kubera, Artur Paszczak, Zbigniew Skierski, 25.02.2007

Pomysł drogi powstał już dość dawno temu, gdy spoglądałem na ścianę TZ spod Mnicha. Widać stamtąd wyraźnie stromiznę terenu, oraz wspomnianą załupę, umożliwiającą pokonanie zasadniczych trudności.

Pierwszy wyciąg to piękne wspinanie w trawkach i lodzie, zakończone sprytnym kominkiem. Potem przeniesienie stanowiska pod główne spiętrzenie, skąd w prawo skos do wspomnianej załupy, dość trudnym wyciągiem prowadzącym płytowym i słabo urzeźbionym terenem. Być może miejsce 5+ można obejść po lewej. Dalej,

wśród wielkich, „nastermanych” bloków, wielką załupą, która pod koniec przechodzi w eksponowany kominek – bardzo piękne i efektowne. Ze stanowiska, dalej w górę i w lewo, mijając pierwszą możliwość wyjścia w górę (ok. 6+ - w zastanych warunkach nie dałem rady wyjść w płytę i się wycofałem) do stóp 5-metrowego zacięcia, którym na ostrze filara (5/5+). Dalej ostrzem Prawego Filara, potem kominkiem, i wreszcie łatwą ścianą na wierzchołek TZ. Ogólnie – fajne machanie „siekierami”.

Talon na balon, V-, 3h, Irena Dębowska, Krzysztof Łoziński, 21.09.1985.

1 przejście zimowe: Andrzej Dutkiewicz i Arkadiusz Kubicki, 15.02.1986.

Mówi Duduś:

„Droga jest generalnie łatwa, jeden, powiedzmy półtora wyciągu jest wspinaczkowe. Weszliśmy od prawej w narzucającą się formację. Droga nie wryła mi się jakoś szczególnie w pamięć. Poszliśmy na nią, bo była krótka, a jeszcze tego dnia wyruszyliśmy z Moka na obóz na Słowacji.”



Mały kalendarzyk alpinistyczny

Tekst: Jan Gondowicz

Styczeń

W styczniu rozpoczynamy wyteżoną całoroczną działalność. Zew gór nieodparcie rozbrzmiewa nam w duszy, kusząc mirażem przygody. Jakże miło zasiąść na przewiewnej werandzie Morskiego Oka w gronie wiernych entuzjastów pokera! Aby uniknąć zbytecznych kosztów, można też robić to w domu.

Luty

W miesiącu tym przygotowujemy się zapobiegliwie do wielkich czynów. Dobrze jest przygotować na nie opinię publiczną i pocieszyć rodzinę. Suszymy liofilizaty, kielbasy i skarpety, szlifujemy narty, dziaby, raki, hart ducha, a zwłaszcza formę. Powszechnie zalecanym środkiem jest czarna kawa.

Marzec

W marcu przewidujący alpinista najada się na zapas. Dla ulgi w trawieniu studiować można prognozy pogody i literaturę przedmiotu. Nadmiarem wiktuałów napełniamy plecaki, ustawione w zacisznym miejscu, by dojrzały. W wolnych chwilach rozkręcamy pieczolowicie liny, które skrzyło z nudów.

Kwiecień

Zdajemy sobie sprawę, że oto nadeszła wiosna, a wraz z nią nieuniknione zmiany atmosferyczne, bez wyjątku na gorsze. W kwietniu najlepiej snuje się plany odległe i dalekosiężne. Niegdyś co poniektórzy ryzykowali wypad rekonesansowy na narty, jednak zabobon ten z wolna zanika.

Maj

Żywot alpinisty pozornie tylko należy do łatwych i beztroskich. W maju na wzór owego starożytnego malarza, co z poszczególnych wdzięków grona znajomych pań stworzył ideał urody, łączymy w jeden budzący grozę schemat opisy co sroższych fragmentów dróg, któreśmy przeszli albo i nie przeszli.

Fot. Adam Pieprzycki

Czerwiec

W miesiącu tym dokonujemy zakupów, ile szpejara zmieści, uwzględniając wszystko, co może się nam przydarzyć. Konserwacja i kontemplacja namiotów, portaledży, płacht biwakowych, zestawów do spitowania, śpiworów himalajskich, łopat i pipsów zapewni nam rozrywkę w długie zimowe wieczory.

Lipiec

Cóż to za piękny widok, gdy hoży młodzian tudzież ostra laska suną szparko do stóp skalnego olbrzyma, by naraz zniknąć niepostrzeżenie w gęszczu kosowy! Jak wiemy, ciążenie ziemskie działa na wszystkich bez żadnych wyjątków. Osoby i miejsca wybrać należy zawczasu, bowiem lipiec jest zawsze za krótki.

Sierpień

Oto miesiąc, gdy alpinista robi rzeczy, jakich nikt przed nim w górach nie zrobił. Robi to przy pomocy dwu rąk, dwu nóg i dwu poglądów. Kiedy dobrze mu idzie, myśli czule o swym niezawodnym ciecie. Gdy nie wychodzi z wchodzeniem, odkrywa, że ma też nieśmiertelną duszę. I to go duchowo wzbogaca.

Wrzesień

Na wrzesień przypada zacieśnianie więzi rodzinnych. Alpinista zdejmuje się z pociechami i współmałżonkiem na Giewoncie, przypomina sobie smak posiomek w Strążyskiej, szuka rydzów w Lejowej, skłania kornie kolano u ołtarza na Wiktorówkach i sączy aromatyczny trunek z kufla na Hrebienioku.

Październik

Pora, by stawić czoło nieznanemu. Na październik szykujemy wyprawę w góry południowej półkuli, do Patagonii, na Madagaskar czy w Alpy Nowozelandzkie, gdzie właśnie króluje lato. Roztropny alpinista wie jednak, że wyprawę wypada przerwać w dobre obranym punkcie, na przykład w Calanques.

Listopad

Miesiąc stosowny do wielkich teoretycznych sporów. Czas pomyśleć, jakie góry zostawimy naszym synom i wnukom. Czas wreszcie wywołać wilka z lasu i zdjęcia, dobrać miażdżące argumenty, zmontować grupę zwolenników, przywołać autorytety, wysmażyć memoriały, po czym rzucić się w wir polemik.

Grudzień

Alpinista z zasady najpierw wchodzi, a potem się spuszcza. Jeśli odwrotnie, zwie się speleologiem. Grudzień sprzyja zgłębianiu łona odwiecznych gór, czyli tachaniu worów, ćwiczeniach w ruchu robaczkowym i ryciu przekopów. Amatorzy tych zajęć zasłużyli na antypomniki w formie dziur w ziemi.



Tekst: Andrzej Baron Skłodowski

Bezpieczny powrót do domu. Fot. Jacek Obmiński.

Stare górskie porzekadło mówi – na górę potrafi wdrapać się każdy, sztuką jest zejść cało. Dziś więc będzie o sztuce zejścia z góry – oczywiście zejścia cało. Nie jest to puste gadanie. Statystyki są bezlitosne – blisko 70% wypadków, w tym także śmiertelnych, zdarza się podczas zejścia. Wyczerpanie, dekoncentracja po wejściu na szczyt, ciemności, załamanie pogody, a tym samym brak widoczności, nieznanostwo (także teoretyczna) trasy zejścia, za krótkie liny przy zjazdach, brak młotka i haków do założenia stanowiska zjazdowego – przyczyny można mnożyć. Nic więc dziwnego, że na Kaukazie (i nie tyl-

ko) wspinacze gratulują sobie dopiero na równej ścieżce lub w schronisku. Aby nie zapeszyć!

Jak nie dać ciała w zejściu? Zasady są na pierwszy rzut oka proste. Trzeba tylko o nich pamiętać PRZED wspinaczką. Oto niektóre z nich:

- Planując wspinaczkę, zawsze uwzględniaj zejście – jego trudności i czas potrzebny do znalezienia się w naprawdę łatwym i bezpiecznym terenie.
- Gdy jesteś w Tatrach, pamiętaj, że tylko na Hali Gąsienicowej z każdego niemal szczytu prowadzi do domu znakowany szlak. W Morskim Oku jest już inaczej

(vide zejście z Mięguszy), a na Słowacji, zwłaszcza w rzadziej odwiedzanych dolinach – znajomość terenu to podstawa. Nie wszędzie są wyraźne ślady zejścia, nie wszędzie stoją kopczyki, a czasami trzeba zejść do sąsiedniej doliny.

- Równie starannie jak schemat wejścia, zapamiętaj opis drogi w dół, zwłaszcza ze szczytu, na który wspinasz się po raz pierwszy.
- Zimą pamiętaj, że schodzisz w środku dnia lub pod wieczór, a wtedy twardy z rana śnieg wygląda zupełnie inaczej; przede wszystkim jest znacznie bardziej niebezpieczny.
- Gdy masz wracać przez lodowiec, pamiętaj, że odcinek, który przebiegłeś nad ranem w rakach jak elf, może wymagać po południu torowania w śnieżnej brei po kolana, nie mówiąc już o tym, że mosty nad szczelinami są wtedy głównie warte.
- Zawsze zabieraj z sobą latarkę, nawet na Mnicha; światło telefonu komórkowego to za mało.
- Gdy planujesz, ile zabrać sprzętu – uwzględnij zejście. Sprawdź, czy będą zjazdy, z jakich stanowisk (stałych czy zakładanych przez ciebie), jakiej długości liny potrzebne są do zjazdu ze stałych punktów.
- Zabieraj z sobą telefon komórkowy. Możesz posłużyć się nim tak, jak przed kilku laty zespół doświadczonych taterników (późniejszych laureatów Złotego Jaja), który pewnej zimy wylądował w zamieci i ciemnościach na szczycie Wielkiej Jaworowej Turni. Wspinacze nie bardzo wiedzieli, jak dostać się na dół, więc zadzwonili do Włodka Cywińskiego i na-

prowadzani przez eksperta niebawem wylądowali w Rówienkach.

- Gdy tylko możesz – wybieraj najłatwiejszą drogę zejścia. Nie przydarzy ci się to, co pewnym facetom ze Śląska. Gdy w pewien pogodny, sierpniowy wieczór układałem się do snu w dyżurce TOPR-u w Morskim Oku, zadzwonił telefon. Jakiś facet pytał – jak on i jego dwaj koledzy mają zejść z Kazalnicy? Dodał, że jest ciemno, a dookoła same przepaście. Przez chwilę widziałem siebie oczyma duszy, jak leżę ścieżką do góry i pomagam zablakowanym turystom wrócić do schroniska. Wyglądało na to, że mam przechłapanie. Tłumaczyłem im, że powinni być na szlaku, niech się dokładnie rozglądają. W końcu zapytałem, jak dostali się na Kazalnicę, że nie pamiętają ścieżki. I wtedy usłyszałem: „wspieliśmy się Kantem Filara, a od Siodełka poszliśmy w prawo, bo kolega mówił, że tak będzie szybciej”. No i byłem w domu, zwłaszcza że Książka Wejść potwierdzała istnienie takiego zespołu. Jak wszyscy wiedzą – jestem człowiekiem spokojnym, pod warunkiem że nikt mnie nie wkurza. Puściłem chłopakom garść wiązanek i poszli spać tam, gdzie stali, wyposażeni przeze mnie w kilka świetnych rad – by włożyli nogi do plecaków, usiedli na linach i owinęli się w płachty NRC (bo takowe mieli). No i wrócili na śniadanie, gdyż chcieli... zejść szybciej.

Mam nadzieję, że stosowanie w praktyce tych kilku prostych rad (niewyczerpujących bynajmniej całości zagadnienia) pozwoli Wam zawsze szybko i bezpiecznie wrócić na czas w doliny.

Walker

– spostrzeżenia i sugestie

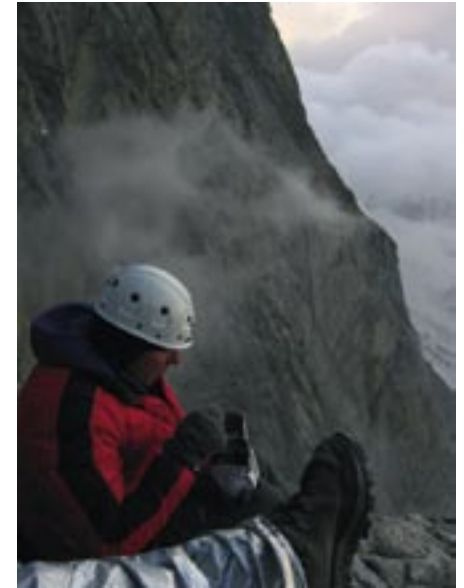
Tekst: **Marcin Książak**

Tego lata, razem z Wojtkiem Ryczerem i Krzysztofem Sadlejem, zrobiliśmy Filar Walkera. Na naszej stronie klubowej pisałem już o przejściu Walkera, więc teraz chciałbym napisać kilka słów o samej drodze, które mogą być wskazówką i przestrogą dla kolejnych zdobywców.

Północna ściana Grandes Jorasses jest jedną z trzech największych północnych ścian alpejskich. Walker ma 1200 m wysokości, długości zaś dużo więcej. W schemacie autorstwa Jacka Jasińskiego droga ta ma 57 wyciągów. Schemat i opis drogi zamieszczono kiedyś w „Górach”. W rzeczywistości droga ta ma dużo mniej wyciągów, prawdopodobnie około 40. Redukcja ilości wyciągów jest związana ze stosowaniem dłuższej liny. Często zdarzało się nam łączyć dwa krótkie wyciągi w jeden 50-60 metrowy. Nam wyszło 25 wyciągów na sztywno lub prawie na sztywno, natomiast resztę terenu pokonaliśmy z lotną asekuracją.

W dolnej części ściany występowało kiedyś dużo lodu, który teraz całkowicie się wytopił. Raki są potrzebne tylko na pierwszych 20 m drogi, no i oczywiście do zejścia. Widzieliśmy trzy zespoły, które weszły w ścianę czysto skalnymi zacięciami na lewo od ostrogi filara. Zacięcia te znajdują się trochę wyżej niż oryginalny start, dzięki czemu można zaoszczędzić z jeden wyciąg.

W wyniku ostatnich ciepłych lat śnieg i lód na ścianach prawie całkowicie zaniknął, co odkryło olbrzymią kruszynę. Opowieści o pięknie wspinaczki i dobrej jakości skały możemy odłożyć do lamusa. Momentami miałem wrażenie, że wspinam się w czynnym kamieniołomie, gdzie wszystko jest ruchome, a żłebami po bokach filara osypuje się świeżo pozyskany urobek. Zdarzały się miejsca V+, gdzie połowę chwytów musiałem odłożyć na miejsce, a dodatkową atrakcją były kamienie zrzucone przez wspinające się nad naszymi głowami zespoły. Podwójne zacięcie Rebuffata, 75-metrowe zacięcie



Marcin na biwaku wcina sobie liofa. Fot. archiwum autora

oraz ostrze filara w górnej części ściany jest lite i oferuje przepiękne wspinanie.

Reasumując, olbrzymia kruszyna oraz duża popularność drogi powodują realne zagrożenie życia.

Znacząca długość drogi wynikająca z wysokości filara oraz wielu trawersów ma wielkie znaczenie w warunkach niepewnej pogody, ponieważ w trakcie załamania zjazdu wzdłuż drogi stają się prawie niemożliwe. Natomiast próba zjazdu na wprost będzie wymagała od nas dużej ilości sprzętu, który pozostawimy w ścianie. Istnieje także prawdopodobieństwo, że wylądujemy w pasie płyt, które występują w ścianie, co uniemożliwi założenie bezpiecznego stanowiska.

Bywałem wiele razy w Chamonix i widywałem kilkunastokrotnie letnie załamania pogody z 10-20 cm opadem śniegu, który tworzył przepiękną, zimową atmosferę na Walkerze.

Podpis



Krzysiek Sadlej w dolnej części drogi. Fot. archiwum autora

Abstrahując od tematu, sam kiedyś przeżyłem takie załamanie na wysokości 1100 metrów na filarze Aiguille Noir. W ścianie spędziłem ponad cztery dni, jedzenia mieliśmy tylko na półtora dnia. Podczas burzy poraził mnie lekko piorun. Po zwiezieniu nas na dół przez śmigło okazało się, że moja partnerka miała temperaturę ciała wynoszącą 33,50C. Pozostawiam to jako wystarczający komentarz do tego, co się może stać, jak nas dorwie w ścianie ostra dupowa.

Podsumowując, potrzebujemy minimum 2,5 dnia dobrej pogody dla niezłego zespołu lub 3-4 dni dla gorszego. No i oczywiście muszą być dobre warunki w ścianie (sucho, mało śniegu, izoterma 00C na ok. 4000 m i wyżej).

Dlaczego powinniśmy mieć tyle czasu? Ponieważ jeden dzień zajmuje podejście do schroniska Leschaux (3 godz. z Montenvers), z którego wyruszamy w środku nocy, jeden do dwóch dni wspinania i pół dnia – zejście. Bardzo dobry zespół zrobi drogę w jeden dzień, ale będzie musiał biwakować na szczycie albo schodzić w nocy. Nam droga zajęła 1,5 dnia, natomiast zejście do schroniska Boccalate – 7 godzin.

No i właśnie na zejściu zabrakło nam pogody, przyszła burza z piorunami, opadami deszczu i gradu. Podczas zjazdów żebrem Whympera chłopcy lekko poczuili wyładowania atmosferyczne. Mnie to na szczęście ominęło, byłem wtedy na innym stanowisku.

Zejście według opisu nie powinno nastęrczać dużych trudności, co w tym wypadku nie jest do końca prawdą. Zejście jest przeplatane schodzeniem, zjazdami, trawersami. Ważne jest to, że po zakończeniu zjazdów na żebrze Whympera przechodzimy na następne żebro po prawej, które z początku przypomina grzędę skalną. W końcowej fazie schodzimy lodowcem, przeskakując tu i ówdzie przez szczeliny. Notabene podczas jednego z takich

skoków Krzysiek skrzył sobie nogę. Schronisko znajduje się na grzędzie skalnej rozdzielającej lodowiec.

Na zakończenie chcę powiedzieć, że Walker nie jest aż taki trudny (moje spostrzeżenie po zrobieniu drogi), ale do sprawnego pokonania drogi i zejścia jest potrzebne rozwspinanie i aklimatyzacja, ponieważ powyżej 3000 m każdemu z nas delikatnie spada wydolność.

Powyższy tekst nie ma być moralitetem mówiącym o zagrożeniach. Napisałem go na prośbę Artura Paszczaka, który szczerze martwi się o kolejnych zdobywców.



Zespół na wierzchołku Grades Jorasses. Fot. archiwum autora

SZKOŁA ALPINIZMU W PIONIE



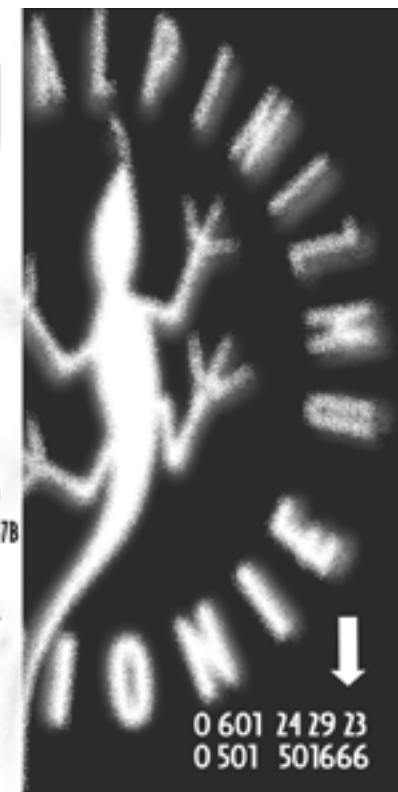
ZAPRASZA NA

WWW.WPIONIE.PL

➔ **NAJWIĘKSZĄ ŚCIANĘ WSPINACZKOWĄ
W CENTRUM WARSZAWY** UL. NOWOWIEJSKA 37B

➔ **KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE,
W SKAŁKACH I W TATRACH**

Dla członków KW Warszawa 10% zniżki na kursy



0 601 24 29 23
0 501 501666



CZ. II KILIMANDŻARO

Tekst i zdjęcia: **Maciej Kuher**

Jak zdobywałem

koronę Ziemi

Kocham Afrykę. Nie tylko tę rdzawo-piaskową, suchą, północną. Nie tylko tę znaną z nadmorskiego bulwaru w Dahabie, gdzie siedząc nocą w jednej z kilkudziesięciu knajp na górach poduszek, można do woli palić sziszę i w wpatrywać się w czerń Morza Czerwonego. Nie tylko tę, która wprasowuje człowieka bezlitosnym żarem słońca w asfaltowy, uwalany olejem plac w Naama Bay, przez który musisz przejść żeby dostać się do przystani, gdzie czekają już dwupokładowe łodzie nurkowe gotowe zabrać cię w inny, chłodny, podmorski świat. Kocham też, a może przede wszystkim, Afrykę czarną, równikowo-zwrotnikową, gdzie pulsuje prawdziwe, wulkaniczne serce kontynentu, gdzie u wybrzeży Kenii i Tanzanii ścierają się i mieszają, jak w tyglu, kultury: plemienne i arabska.

Z tego miksu powstał twór niezwykły – kultura Suahili, która ma swój język, architekturę oraz odbija

👉 Andrzej Perepeczo i Bello na szczycie.

swe piętno w życiu religijnym obywateli. W Malindi budzi cię śpiew muezzinów. Gdy z pościeli uciekną już wszystkie karaluchy możesz wstać i podchodząc do okna poczuć aromat świeżej kawy przyrządzanej przez wędrownych „zaparzaczy”, ubranych w białe burnusy i czerwone kepi. Ekspres do kawy to miedziany stożek, w którym robi się coś z zielonkawo-czarnymi ziarnami, aby po chwili otrzymać aromatyczny, słodki napój.

Przyciągało mnie to zawsze, więc wybór następnego celu w drodze po koronę Ziemi był prosty i oczywisty. O Kilimandżaro myślałem od chwili, gdy ujrzałem je w czasie pobytu na safari w Parku Amboseli po stronie kenijskiej. Jak kolos przygniatało równinę swoim ogromem.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie: telefon, trzy dni i lądujemy z Andrzejem na Kilimandżaro

ro Airport, obładowani różnorakim szpejem, z czego połowę stanowią tabletki na malarię i moje antybiotyki, gdyż wciąż walczę z zapaleniem oskrzeli. Do Tanzanii można wjechać jedynie po odbyciu szczepień przeciw żółtej gorączce. Okres uodporniania się organizmu wynosi 10 dni. Nie było jednak czasu, aby czekać tak długo. Będzie to miało implikacje w niedalekiej przyszłości.

Lądujemy w nocy i od razu otaczają nas murzyni. Tutaj muszę się podeprzeć cytatem z „przygód Koziołka Matołka” Kornela Makuszyńskiego:

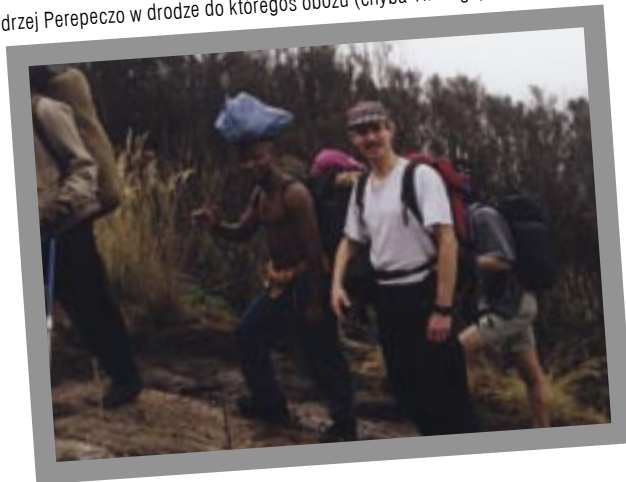
*„Czarni byli to straszliwi!
Wyją, krzyczą, szczerzą zęby,
W nosach mieli jakieś kółka,
Farbą zaś znaczone gęby.”*

Tak to właśnie wygląda – każdy z nich żąda 100 dol. za podwiezienie do Moshi. Nijak to się ma do informa-

cji zaczerpniętych z przewodnika Lonely Planet, który mam przykuty łańcuchem do ręki. Odrzucając kolejne oferty przepychamy się do wyjścia. Nagle słyszę: „Za 10 dol. do Moshi!!!”. Ta cena nam odpowiada. Pakujemy graty do klasycznego „Defendera” żywcem wyciętego z filmu „Daktari”. Droga jest asfaltowa, co dziwi mnie niezmiernie, gdyż miałem okazję przejechać słynną „Nairobi Highway” i zapewniam, że więcej w niej było dziur (jak po bombardowaniu) niż asfaltu. Kierowca pyta: „Jumbo?” (jak leci?). Jeśli odpowiesz „Jambo”, zostaniesz błyskawicznie rozpoznany jako turysta, który nie duka słowa w Kiswahili i można mu wcisnąć figurkę słonia w cenie biletu lotniczego pierwszej klasy. Ja mówię Sijambo – co wzbudza zaufanie i pozory, że coś tam żarzę.

Okazuje się, że właściciele Defendera prowadzą również firmę trekkingową i proponują nam trek na

Andrzej Perepeczo w drodze do któregoś obozu (chyba 1wszego) i nasi portrzy.



Kili za kosmiczną sumę. W cenę wliczony jest przewodnik, pomocnik, kucharz (chef) i czterech porterów. To oficjalny przepis parkowy. Zawzięcie pertraktując zbijamy znacznie cenę i w chwilę potem, popijając piwko „Tusker” na tarasie obok hoteliku, wręczamy właścicielom firmy trekkingowej plik gotówki (pesa).

Krytycznym wzrokiem lustrujemy pokój: za krótkie moskitiery smętnie zwisają metr nad łózkami. Pod sufitem kłębią się roje moskitów. Jedno jest pewne: tej nocy nie pośpimy. Łykamy antymalaryczne tabletki i pijamy je Red-Bullem.

Następnego dnia wizyta na targu. Filip – „chef” – kupuje żywy inwentarz oraz jajka, chleb i inne produkty. Wnikliwie oglądam szklane sklepowe. Wszędzie napisy „Arusha”. W głowie świta mi podejrzenie, które przeradza się w pewność: nie jesteśmy w Moshi, jesteśmy w Arusha!!!

– Co się przejmujesz - mówi Andrzej - nieważne, gdzie jesteśmy. I tak mają nas zabrać na Kili.

To filozoficzne stwierdzenie uspokaja mnie nieco. Nie mówię już nic – po prostu idę i chłonę widoki. Krzewy kawy kryjące się cieniu bananowców, poletka manioku, blaszane budy z częściami do rowerów,

kramy sprzedawców oryginalnych, struganych figurek: sloni, postaci Masajów etc. Większość sprzedawanych jest jako hebanowe, a została wystrugana z akacji i przemalowana na czarno w Akamba Industry, gdzie taśmowo wyrabia się rękodzieło.

Dojeżdżamy do Machame Gate, jako że wybraliśmy Machame – Mweka Route zwaną też „Whiskey Route”. Załatwiamy formalności i witamy się z naszym przewodnikiem Bello.

– Mambo? (jak leci?).

– Poa (cool).

Ów, zasilany uranowym ogniwem energetycznym atleta, bez przerwy biega i nuci sobie jakiś Gospel. Do naszego dwuosobowego teamu dołącza jeszcze Fritz i ruszamy przez dżungłę ku szczytowi Kibo. Bello robi nam wykład na temat odwodnienia, choroby wysokościowej itd.

– Przede wszystkim – powiada - wszystko róbcie „pole pole” (powoooli).

Wędrujemy przez wszystkie piętra roślinności. Dżungla przerzedza się i ustępuje miejsca karłowatym drzewkom, a następnie roślinności alpejskiej. Po dwóch dniach docieramy do położonego na wysokości około 3000 metrów Shira Plato. Z tego, usianego kamieniami i pociętego zastygłą lawą, płaskowyzu rozpościera się widok na klasyczny stożek wulkanu Meru. W nocy jest on otoczony maleńkimi świetlikami – to światła w wioskach okalających wulkan. Chciałoby się powtórzyć za Wieszcem: „(...) i tam żyją ludzie i tam mają duszę.

Kiedy się odwrócić, przytłacza polany białym lodem Kibo - najwyższy szczyt masywu Kilimandżaro. Patrę i nie mogę uwierzyć, że to aż tam mamy dojść. Mnie, wychowanego na mydlniczce podleskiej i turniczkach w rodzaju Mnicha, wciąż poraża ogrom Gór. Ogarnia mnie zwątpienie. We znaki dają się bra-

ki kondycyjne. Tętno czasami skacze mi do 180, choć staram się robić wszystko „pole pole”. Niektórzy z biwakujących po sąsiedzku teamów w ogóle się nie szczypią – od paru dni są na Diamoxie – dragu ułatwiającym aklimatyzację.

Śpimy w słynnym norweskim namiocie Andrzeja, który już przecieka i będzie przeciekał w przyszłości na Kazbeku. W nocy temperatury są przyzerowe. Na suficie warstewka lodu. Zeskrobujemy go i używamy do mycia twarzy. Po chwili słyszymy wesóły głos Filipa:

– Habari za asubuhi? (jak się macie?).

– Salama (w porzo).

Na śniadanie – standardowo: tosty, jajecznicza, kahawa (kawa), chai – herbata (która jest też podawana o piątej – z ciasteczkami). Gdy jemy, porterzy zwijają namioty i ruszają pod Lava Tower (4600 m n.p.m.) – do obozu szturmowego. Stamtąd pójdziemy przez Arrow Glacier i dotrzemy do grani krateru.

Po dojściu na miejsce biwakowe i zdobyciu Lava Tower wczolguję się do namiotu. Tropik umocowany jest stoperami, bo w skaliste podłoże trudno coś wbić. Łykam aspiryny, Andrzej opowiada historie: a to o olbrzymim marynarzu, co wykrzywił zębami lufy pistoletów, a to o siłacz, który rozginał kraty. Włosi – maratończycy – biegają dookoła obozu, Fritz czyta „Wojnę i pokój”. W końcu zasypiam.

Budzą nas o 24, każą się ubierać i wychodzić. Nie podają śniadania. Jestem oburzony: gdzie kawa, gdzie ciepły posiłek? Murzyni wykorzystując nasze ośpienie poszli chyba na łatwinę i wystłali nas na trasę bez śniadania. Niewyspany i głodny wlokę się

Widok z obozu, na Kibo (główny krater-szczyt Kili) w drodze zejściowej.



przez Arrow Glacier. Dokucają mi także niezaleczone oskrzela. Antybiotyk się skończył, a suchy kaszel bardzo dokucza. Poza tym układ gwiazd nie ten, jesteśmy w roku małpy (niefortunnym!), mamy zły Dżos, Feng-shui do dupy a siły chi-sue kumulują się nie tam, gdzie trzeba. Nie wygląda to dobrze. W pewnym momencie, zupełnie bez sensu, zatrzymuję się. Coś każe mi zawrócić. Obrażony na cały świat schodzę przez śnieg, przez zastygłe bryzgi lawy ku dolinie Barranco do South



Autor w zwalce po pierwszym etapie leżący na namiocie.



Pierwszy obóz „Shira Plateau” nie wiem czy Plato tak się pisze.

Circuit Path, która to ścieżka opasuje Górę od południa wijąc się na wysokości 4000 metrów. Gapię się na dalekie wodospady, idę przez rumowiska porośnięte gigantycznymi agawami, mijam dolinki, mijam kolory rdzy, brązu, ochry i pomarańczy. Samotna wędrówka po dachu Afryki. Jak okiem sięgnąć pierwszy kontynent. Brak ludzi. Tylko ja i Afryka. Jak pisał mistrz Masaoka Shiki:

„Cisza i spokój.

Idę sam – i dlatego

Wszystko jest piękne!”

Dochodzę tak do Barranco Wall gdzie doganiam Filipa i jednego z porterów. Nieźle wycięty krzyczę:

– Filip, jestem głodny i chce mi się pić!

Filip wydaje polecenia porterom i po chwili zjadam sandwicza, popijając herbatę. Niezdarni por-

terzy przypalili mi kocher – Filip jest bezwzględny i każe im wypucować naczynie na glanc. Częstouję go cytryną. Ze zdziwieniem przygląda się żółtej skórce. Oni znają tylko zielone limonki.

Przedzieramy się przez Barranco Wall rodzajem naszej Orlej Perci, mijamy dolinę rzeki Karanga w miejscu, gdzie zaczyna ona swój bieg i dochodzimy w końcu do Mweka Hut. Tam oczekujemy na towarzystwo schodzące z Piku. Zaginęli dwaj Włosi wraz z przewodnikiem – pewnie po ciemku popieprzył drogę. Rozmawiamy z Afrykanerami – zapraszają na imprezę w Moshi, hotel „Schloster Alte” czy jakoś tak. Ale my jedziemy przecież do Arusha...

W Arusha śpimy u Hindusa za 5 dolarów za noc – pelen wypas: zimna woda osobno, ciepła – osobno.

Nazajutrz ruszamy kupować pamiątki. Mijamy

opatulone czerwonymi kocami Masajki śpiące na chodniku i dochodzimy do kramu z maskami. Facet chce od nas 600 szylingów za sztukę. Przegięcie. O ironio losu – teraz to my, biali kupujemy szklane paciorki i drewniane figurki. Kiedyś za lusterko, sól czy belę perkalu można było kupić pół wsi z inwentarzem. A jak wiemy z „Przygód Tomka na czarnym lądzie” Alfreda Szklarskiego największym przysmakiem Pigmejów z dżungli Ituri – była mieszanina soli z tytoniem podana na kartce z notesu Smugi. „Ciekawe czy ci faceci zjedliby dziś taki zestaw” – myślę.

– Habari – słyszę.

Odwracamy się – to Filip.

– Hatujambo – odpowiadamy radośnie.

– Nzuri, asante sana – odpowiada z szacunkiem sklepikarz.

– Ci ludzie byli ze mną na Kilimandżaro – mówi Filip

– daj im taką cenę, jaką dałbyś mnie.

– Tak Filip, zrobię, jak mówisz.

– Dzięki, Filip. Tutaonana (narka).

– Kwaheri!

Cena spada szybko do 200 tsh. Nie mamy już gotówki, więc udajemy się do pobliskiego biura Visa w celu pobrania „pesa”. Cóż, Arusha wygląda, jak Mogadiszu w „Black Hawk dawn”. Wchodzimy do jednego z obskurnych sklepików pod szyldem Visa. W środku wita nas wielki 240-sto funtowy murzyn, któremu przeszczepiono mięśnie goryla.

– A tak, możecie pobrać gotówkę, musimy tylko poczekać na szefową - Sheila, ale ona zaraz wróci – mówi i przesuwa się do drzwi.

– To może my później...

– Nieee, ona zaraz wróci - stwierdza i zamyka drzwi na klucz.

Czuję zimny pot na plecach, w myślach żegnam się z bliskimi. Czy ja zawsze muszę przyciągać jakichś psycholi? Siadamy.

– Aaaa, gdzie jest Sheila? - pyta Andrzej.

– U fryzjera.

Jest jedna umiejętność, jaką należy osiąść, podróżując po Afryce. Nie jest to sztuka polowania i oprawiania zwierząt, ani też pozyskiwania wody z mitycznych roślin. Nie jest to sztuka rozpalania ognisk, wyszukiwania smakowitych larw i unikania cyst owadów, które w dwa dni zrobią ci z wątroby i jelit sito. Nic z tych rzeczy, żaden z tych survivalowych patentów nie jest potrzebny, by przeżyć. Koniecznie natomiast trzeba osiąść umiejętność czekania. Tutaj czeka się na wszystko: na beczkowóz z wodą, na autobus, na deszcz, na ciężarówkę, na kelnera. Czeką się na notorycznie niepunktualnych lokalsów i czeka się na matatu. Czeką się też na Sheila. Dla zabicia czasu wyjaśnię, czym jest ten ewenement – stały fragment gry na ulicach wschodniej Afryki: matatu.

Nazwa pochodzi od słowa „trzy”, ponieważ kiedy „matatu- biznes” ruszył, przejażdżka kosztowa-



Dziewczynka przy Bramie do parku Kilimandżaro.

ła trzy afrykańskie monety. Zwykle jest to Peugeot 504 (siedmioosobowy) lub mikrobus wielkości starego VW używanego przez hippisów z musicallu „Hair” oraz terrorystów „Czerwonych Brygad”. W większości jednak są to białe, małe Nissany – wersja doskonała na Tokio, obliczone na pomieszczenie drobno zbudowanych Japończyków, a nie rośliwych mieszkańców Afryki. Większość wnętrza matatu zajmuje mega-decybelowy, stereofoniczny „ghetto-blast”. Jeśli wystarczy miejsca, między subwooperami montuje się siedzenia dla pasażerów. Matatu zwykle odjeżdżają z winkla stacji kolejowej, a ruszają, kiedy są „full” (trzeba czekać, aż się zapelną). Żebyśmy się dobrze zrozumieli – „full” nie oznacza siedmiu pasażerów plus kierowcę. Oznacza „tylu pasażerów z kurami, ilu da się upchnąć wewnątrz i na dachu” i zawsze jest miejsce dla jeszcze jednej osoby. Załogę stanowią jak zwykle trzy osoby (skąd my to znamy?): kierowcę, który nie spał od kilku dni i jest w stanie dalej prowadzić samochód dzięki żuciu kolejnych porcyjek specyfiku zwanego „miraa”, napakowany konduktor pobierający opłaty od opieszalych pasażerów oraz naganiacz, prawdziwy Daddy Cool, którego powietrzna ekwilibrystyka na zewnątrz matatu zapewniłaby mu miejsce w olimpijskiej reprezentacji gimnastyków chińskich. Należy unikać matatu z nazwami „Błyskawica”, „Pożeracz dróg”, „Świetlny promień”, „Allahu chroń nas”, itp. W żadnym wypadku nie siadać na „miejscu trupa” obok kierowcy. Nigdy nie wsiadać do patrolującego ulicę matatu z mniej niż dziewięcioma osobami wewnątrz. Pojeździ tak jeszcze ze dwie godzinki, aby złapać z pięciu, sześciu pasażerów. Gdy tubylcy wyglądają na zdenerwowanych – masz problem. Kiedy droga jest pełna dziur – masz szczęście – kierowcę pojedzie

wolniej. Pamiętaj: najbezpieczniejsze miejsce to środek drugiego rzędu. Pasażerowie dookoła ciebie zamortyzują uderzenie. Jeśli pojedziesz w nocy – istnieje mniejsza szansa na czołowe zderzenie z powodu słabszego ruchu, lecz kierowca jedzie po ciemku, bo światła nie działają. Jeśli pojedziesz w dzień, jest widno, ale kierowca wyprzedza na zakrętach i pod górkę, kiedy nie widać nadjeżdżających z naprzeciwka, przeladowanych ciężarówek.

W końcu wraca Sheila, pobieramy nasze shilingi i ze wszystkimi kończynami na swoim miejscu, zdziwieni, że jeszcze żyjemy opuszczamy sklepik.

Następnego dnia Andrzej udaje się na safari do Ngoro-Ngoro. Ja – na lotnisko.

Obserwując niebo pobielone gwiazdami, czekam na samolot. Ładnie się ono prezentuje, zwłaszcza że na lotnisku zgasło światło. Pasy startowe są czarne jak ten kontynent. Samolot linii KLM przelatuje nad budynkami i znika w oddali.

– Gdzie on leci? – pytam zaniepokojony kogoś z obsługi.

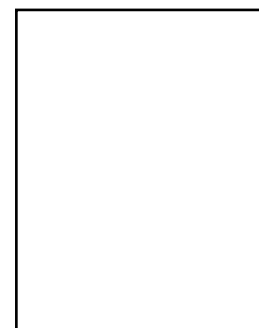
– Do Dar-as-Salaam – odpowiada – tutaj nie może lądować, przecież nie ma prądu.

– To co mam robić?

– Jak to, co? Czekać....



Drugi z Kraterów masywu Kili, już zerodowany



tekst

Wspomnienie
o Krzyszku Godlewskim



Wspomnienie
o **Marcinie Kłossowskim**

Marcina poznałem na początku lat 90. Był młodym człowiekiem ciekawym świata, niezwykle skromnym, wrażliwym, oczytanym i kulturalnym. Znał dobrze języki. Łatwo nawiązywał kontakty. Zawsze bardzo życzliwy, uczynny, potrafił słuchać. Odczuwało się, że to dobry człowiek. Lubił ludzi i świat. Sam też był lubiany.

Pracowaliśmy razem w jednej z pierwszych prywatnych firm geoinformatycznych w Warszawie zwanej NEOKART GIS. W nowej rzeczywistości rynkowej poznawaliśmy tam nowoczesne technologie geoinformatyczne. Dla Marcina przestały one stanowić bardzo szybko dostateczne wyzwanie. Miał sam dużo własnych, oryginalnych pomysłów. Rozpierała go energia, która sprawiała, że szybko mówił i chodził – jakby się gdzieś stale spieszył. Ciągnął go świat.

Już na studiach pasją poznawania i dzielenia się wiedzą i informacjami z innymi sprawiła, że zajął się dziennikarstwem. Współpracował wtedy jako korespondent z jakimś czasopisem kanadyjskim. Działal też aktywnie w międzynarodowej organizacji studentów uczelni technicznych BEST – Bard of European Students of Technology. Miał wielu przyjaciół w Europie.

Wiosną 1993 zaczął własnym sumptem wydawać pierwsze w Polsce pismo geoinformatyczne „GEO-FORUM” – Wszystko o Systemach Informacji Przestrzennej. Szybko okazało się jednak, że w Polsce było na to wtedy za wcześnie.

Marcin nie chciał czekać. Zaczął z ochotą poddyplomowe studia MBA, które miały mu otworzyć nowe perspektywy. Po ich zakończeniu pracował w dużych firmach doradczych i marketingowych. Był konsultantem, zasiadał w radach nadzorczych. Interesował się rynkiem kapitałowym.

Straciliśmy wtedy „roboczy” kontakt ale zdołaliśmy utrzymać relacje towarzyskie. Marcin asystował i bezinteresownie doradzał nam w trudnych chwilach rozwoju naszej nowej firmy. Latem 1996 wędrowaliśmy razem po Tatrach z grupą moich francuskich przyjaciół. Pamiętam, jak niezwykle szybko zaskarbił sobie sympatię zarówno dorosłych jak i dzieci.

Od czasu do czasu przysyłał wiadomości ze swych dalekich podróży i egzotycznych wypraw.

Chociaż spotykaliśmy się już rzadziej ale zawsze znajdowaliśmy wspólny język.

Tak było 2 też tygodnie temu, gdy Marcin zadzwonił i zaproponował wspólny obiad. Opowiadał o planowanym wyjeździe w góry, o Zawracie, Świnicy, Pięciu Stawach. Marcin znał Tatry i niebezpieczeństwa tych gór. Obawiał się lawin i chciał od kogoś wypożyczyć sondę i detektory. Po spotkaniu wręczyłem mu wydany w zeszłym roku Satelitarny Atlas Tatr i Podtatrza. Śmieliśmy się, że wirtualny świat zastąpi nam może na starość potrzebę bezpośredniego kontaktu z tymi zawsze wspaniałymi ale

i groźnymi górami. Marcin nie dożył starości.

Dwa dni przed wyjazdem wpadł jeszcze pożyczyc czekan. Pożegnał się na Rondzie de Gaulla, i swoim szybkim krokiem, odszedł – na Drugą Stronę...

W sile wieku odszedł dobry człowiek, którego będzie nam brakować.

Witold Fedorowicz - Jackowski



Wspomnienie
o **Bogdanie Zaledze**

Nie był interesowny czy wyrachowany. Był uczynny, życzliwy.

W Tatrach chyba nie zapisał się w kronikach. Więc dla uzupełnienia: na ptn.-wsch. ścianie Kotta Kazalnicy w listopadzie 1973 roku (w towarzystwie K. Kleczkowskiego i K. Łozińskiego) to Bogdan przeprowadził tzw. „Uskok Laborantów” (fragment do zachodów, które obok przecina droga Długosza i Popki; faktycznie więc wariant do tej drogi – piękny, tyle że trudny).

Razem wspinaliśmy się na pewno w 1975 roku – na Estogu-Janidze na pd. Wołowej. Także wówczas, zaciągnąłem Bobasa pod Rumanowy; Po nocy spędzonej w kolebie, w Kaczej, z nieuchwytnym insektem w śpiworze, magnetyzm ściany przestał na mnie działać. Bogdan przyjął to, jak gdyby nigdy nic... I jeszcze przyjął coś, czego nie zapomnę; - kiedy na Zerwie przeszedł dolny trawers na Kielkowskim – „odmówiłem współpracy”! – On zaś, bez słowa, przeszedł trawers z powrotem, po czym zjechaliśmy pod ścianę. Z tego, co wiem, nikomu o tym jakoś nie wspominał. Ja wspominam...

I jeszcze pogrzeb Bogdana; - I słońce, które na moment wyszło, i wiewiórkę która dokazywała nad grobem... Gapili się wszyscy; - Jakby przyniosła jakąś wiadomość

luty 2006 Janek

Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa:

- Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, gdzie znajdziesz ludzi podzielających Twoją pasję - góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć. W ramach naszej składki - jednej z najniższych w kraju - otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:
- renomowany północnik A/Zero przysyłamy ci pocztą do domu,
 - otrzymasz zniżki nawet do 20% w ponad dwudziestu firmach i sklepach współpracujących z klubem a także schroniskach,
 - będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
 - uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
 - będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swój osobisty wykaz przejęć
 - ...i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wysłamy Ci pocztą

Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu - gdziekolwiek się udasz - uzyskasz potrzebne Ci informacje. Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których będziesz mógł udoskonalić lub poznać nowe dziedziny wspinaczki i jej technik pod okiem najlepszych instruktorów.

Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, wzmacniacz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.

Będziesz mógł uczestniczyć bądź współorganizować pokazy slajdów i filmów w klubowej siedzibie - wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów. Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych „Obozowa” (zniżka na karnet dla KWW) oraz „Nowowiejska” (wtorek od 20 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).

W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16-22). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej - uzyskasz dostęp nieilimitowany. Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi „Alp Extreme” i „W Pionie” uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia. A jeżeli będziesz tylko chciał - uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy.

Jak przystąpić do Klubu:

Nie stawiamy żadnych barier formalnych - każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków - jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść swój wkład w nasz rozwój - serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) - otrzymujesz status członka zwyczajnego (nie musisz nam przysyłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) - to możesz wstąpić do klubu otrzymując status członka uczestnika, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:

Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, godz.20-22) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl), Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przysyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Przystępując korespondencyjnie - legitymację wysłamy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:

1. Uczący się do lat 26 – opłata roczna 40 PLN + 40 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku (po 1 lipca) składka 30 PLN + wpisowe 40 PLN,
2. Osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 60 PLN + 60 PLN wpisowe. Wstępując w drugiej połowie roku (po 1 lipca) składka 40 PLN + wpisowe 60 PLN,
3. Instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
4. Dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
5. Dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
6. Członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
7. Emeryci i renciści bezpłatnie.

Ścianki klubowe:

Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie” na ul. Nowowiejskiej 37b. Godziny dla klubowiczów we wtorki od 20 do 22.15 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też nabywać taniej karnety (na 10 wejść w dowolnym terminie) na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight” na ul. Obozowej 60 – cena karnetu 120 zł.

Bulderownia klubowa:

Bulderownia znajduje się w lokalu klubowym ul. Noakowskiego 10/12. Koszt członkostwa w sekcji – 60 zł/kwartal.

Bulderownia jest dostępna dla wszystkich członków KW Warszawa we środy i soboty w godz. 16-22 (opłata 5 PLN za wejście). Dla osób należących do sekcji bulderowej - bulderownia jest dostępna codziennie w godz. 8-22, poza zajęciami treningowymi.

Obozy:

Co roku Klub Wysokogórski Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń pomiędzy bardziej i mniej doświadczonymi kolegami / koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom - dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedziny topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na oboz, który jest umieszczany na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nie posiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecanym przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy ul.Noakowskiego 10/12 Warszawa	NIP 526 16 90 727
Korespondencja ul.Jankowska 5/12 02-129 Warszawa	REGON 000987911
Sekretariat Wtorki 19.30-22.30 ul. Nowowiejska 37B	KRS 0000122453
Internet http://kw.warszawa.pl	Konto Millennium Big Bank SA 87 1160 2202 0000 0000 1850 2085 ul.Jankowska 5/12 02-129 Warszawa

BCA

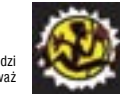
bcaccess.com
Dystrybutor BCA (Back Country Access) oferuje po specjalnych cenach sprzęt lawinowy przy zamówieniach realizowanych przez klub - kontakt marekcy@orange.pl

**Kayland (MountX)**

www.mountx.pl www.kayland.com
biuro@mountx.pl
Dystrybutor obuwia Kayland - MountX oferuje po specjalnych cenach dla członków klubu wybrane modele - szczegóły w aktualnościach

**MONTANO** do 30%

www.montano.pl www.sklep.montano.pl
sklep@montano.pl
Firma MONTANO zajmuje się produkcją odzieży dla ludzi aktywnych. Tworzymy odzież dla wspinaczy, ponieważ sami z niej korzystamy.
tel. 018-2665632, 0888-862-397
Od 20 do 30% zniżki na odzież, sprzęt i akcesoria wspinaczkowe.

**YETI** do 30%

www.yeti.com.pl
sales@yeti.com.pl
Producent kurtek i spiworów puchowych. Zakupy można realizować:
03-710 Warszawa
ul.Okrzei 18
tel. 022 670 12 53 w.14; fax. 022 618 33 01
Osoba kontaktową jest Pani Anna Bielicka
Specjalny 30% rabat dla członków KWW na bieżącą termoaktywną Native Planet.
Na produkty YETI od ceny internetowej jest 25% rabatu, na pozostałe produkty 20% rabatu.
Warunkiem jest posiadanie ważnej legitymacji członkowskiej z opłaconymi składkami.

**MALACHOWSKI** do 20%

www.malachowski.com.pl
info@malachowski.com.pl
Pracownia Sprzetu Alpinistycznego
43-426 Dębówiec
ul. Skoczowska 49
tel.: 033-8562261
43-300 Bielsko-Biała
ul. Rynek 24
tel.: 033-8168687
Dla członków klubu 20 % zniżki na wszystkie produkty (nie dotyczy szycia na miarę).

**MARABUT** do 20%

www.namioty.pl
biuro@marabut.pl
Namioty ekspedycyjne, wyprawowe, turystyczne.
32-070 Czernichów 451
tel.: 012-2702424
Dla członków klubu 15% zniżki przy zakupie do 5 szt i 20% przy zakupie powyżej 5 szt.

**ON-TOP** do 20%

www.on-top.pl
makalu@namioty-ekspedycyjne.pl
Sprzęt wspinaczkowy i do prac na wysokości.
Namioty ekspedycyjne
Warszawa
ul.Limanowskiego 7/3
tel.: 022-842-20-81
Dla członków klubu za okazaniem legitymacji 10% zniżki na sprzęt wspinaczkowy oraz 20% na namioty ekspedycyjne Eureka!

**PLUS Mountain Bike Shop** do 20%

www.rowery.com.pl
plus@rowery.com.pl
Rowery górskie, części, akcesoria
Warszawa - Ursynów
ul. Zamiany 12
tel. 022-644-29-02

**ROSSIGNOL** do 20%

www.pmsport.pl
Dla członków klubu za okazaniem specjalnej karty rabatowej (szczegóły dotyczące zamówienia karty w biuletynie):
10% zniżki na zakupy (15% na produkty PEAK PERFORMANCE) i 20% zniżki na usługi w punktach:



ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH KLIF GDYNIA
Gdynia, al. Zwycięstwa 256, tel. 0 58 664 98 97
QUIKSILVER ROXY BOARD RIDER-GALERIA RYNEK
Kraków, ul. Rynek Główny 12, tel. 0 12 617 02 18
ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH GALERIA KAZIMIERZ
Kraków, ul. Podgórska 34, tel. 0 12 433 03 23
ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH GALERIA KRAKOWSKA
Kraków, ul. Pawia 5, tel. 0 12 628 78 49
ROSSIGNOL PRO SHOP
Kraków, Rynek Główny 13, tel. 0 12 617 02 19
ROSSIGNOL PRO SHOP-CH GALERIA MOKOTÓW
Warszawa, ul. Wołoska 12, tel. 0 22 541 34 78
ROSSIGNOL QUIKSILVER PRO SHOP-CH SĄDYBA BEST MALL
Warszawa, ul.Powisńska 31, tel. 0 22 550 33 35
ROSSIGNOL ROXY PRO SHOP-CH ARKADIA
Warszawa, ul. Jana Pawła II 82, tel. 0 22 313 20 49
OUTLET CENTRE PIASECZNO
Warszawa, ul. Puławska 42E, tel. 0 22 750 21 79

SUMMIT (ASOLO) do 20%

www.summit-asolo.pl
summit.asolo@op.pl
Zniżka na sprzęt alpinistyczny, w tym obuwie marki ASOLO
Indywidualnie zniżka 10%-20% w zależności od zamawianego towaru.
Na grupowe zamówienia zniżka nawet powyżej 20% w zależności od rodzaju i ilości
Sklep - Katowice ul. Kościuszki 10

**TIYO POINT** do 20%

www.tiypoint.pl
sklep@tiypoint.pl
Internetowy sklep podróżniczy
42-200 Częstochowa
ul. Dekabrystów 82
tel.: 603.623.824
Aktualne zniżki dla członków KW: 5 - 20 % w zależności od produktu

**e-biwak.pl** do 12%

www.e-biwak.pl
sklep@e-biwak.pl
Internetowy sklep turystyczny.
tel.kom 0606-707-102
tel: +48 (055) 245-00-32; fax: +48 (055) 245-00-33
Dla członków Klubu z opłaconymi składkami 12% zniżki na produkty.
W rubryce uwagi wpisywać „KWW” celem identyfikacji

**ALPIN SPORT/HIMOUNTAIN** Zakopane do 10%

www.sfpl.pl
alp1@ealp.pl
Outdoor, ski tour, alpinizm, wspinaczka
34-500 Zakopane
ul.Krupówki 11 – alp1@ealp.pl
tel.018-2017095
34-500 Zakopane
ul.Krupówki 28 – alp16@ealp.pl
Sklepy czynne: pon. – czw. 11-18, pt. i sob. 11-19 niedz., 11-16

**ALPINSKLEP** do 10%

www.alpinski.pl
bomar@alpinski.pl
Turystyka, wspinaczka, trekking
Sklep firmowy HiMountain
02-591 Warszawa
ul. Batoiego 39,
Metro Pole Mokotowskie
tel.: 022-825-81-61, 022-825-98-50, 022-825-48-95
Artykuły: Karrimor, buty Aku, Berghaus, The North Face



AZYMUT do 10%
www.sklepazymut.pl
biuro@sklepazymut.pl
 Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, rowery,
 akcesoria rowerowe, narty, snowboardy.
 Przemysł
 ul. 3-go Maja 12
 tel.: 016-679-02-10
 Ustrzyki Dolne
 ul. 29-go listopada 26
 tel.: 013-461-34-74
 Jarosław
 Pl. Mickiewicza 11
 tel.: 016-621-67-68



BERGSON do 10%
www.bergson.pl
biuro@rgsport.pl
 Warszawa
 Galeria Ursynów ul. KEN 36 lok 33
 tel.: 022-649-13-54



BEZDROŻA do 10%
www.bezdroza.sklep.pl
sklep@bezdroza.sklep.pl
 Profesjonalny sklep turystyczny.
 00-637 Warszawa
 ul. Armii Ludowej 17
 tel.: (22) 825-51-87
 Dla członków KW zniżka na towary nie objęte promocją.



CAMPUS/ARCO SPORT do 10%
 Warszawa
 C.H. Auchan
 ul. Puławska 46
 tel.: 022-716-95-25
 Warszawa
 C.H. Targówek
 ul. Głębocka 15
 tel.: 022-313-12-03



CAMPUS/CERRO TORRE SPORT do 10%
www.cerrotorre.pl
 sieć sklepów Jacka Fludera - CERRO TORRE SPORT

Kraków
 C.H. M1
 Aleje Pokoju 67
 tel.: 012-2965900
 Kraków
 ul. Sienna 14
 tel.: 012-4296812
 Wrocław
 C.H. Auchan
 ul. Francuska 6
 tel.: 071-7806647
 Katowice
 C.H. Supersam
 ul. Piotra Skargi 6
 tel.: 032-7810377
 Zabrze
 C.H. M1
 ul. Plut.R. Szkubacza 1
 tel.: 032-7770410

CLIMBING-SHOP.COM do 10%
www.climbing-shop.com
info@climbing-shop.com
 Wspinaczkowo - turystyczny sklep internetowy
 tel/fax.: 032-223-26-86



HIMOUNTAIN do 10%
www.himountain.pl
 Warszawa
 C. H. Reduta
 Al. Jerozolimskie 148



Warszawa
 ul. Królewska 2 (wejście od Krakowskiego Przedmieścia)
 Warszawa
 C.H. Arkadia
 Al. Jana Pawła II 82
 Warszawa-Janki
 C.H. Geant
 ul. Mszczonowska 3
 10% zniżki dla KW Warszawa

MULTAN EXTREME do 10%
www.multanex.com.pl
mail@multanex.com.pl
 Warszawa
 Al. Jana Pawła II 32
 tel.: 022-620-36-76



ROBERT'S OUTDOOR EQUIPMENT do 10%
www.roberts.pl
roberts@roberts.pl
 Specjalizuje się w produkcji odzieży i śpiworów
 ocieplanych puchem
 Gdynia
 ul. Nowodworcowa 15
 tel.: 058 6294298



SHERPA do 10%
www.sherpa.pl
sklep@sherpa.pl
 Sklep górski
 00-672 Warszawa
 ul. Piękna 68
 tel.: 022-621-15-25
 Dla członków KW z ważną legitymacją i opłaconą składką 10% zniżki na wszelki
 asortyment nie objęty promocją.



SKLEP PODRÓŻNIKA do 10%
www.sp.com.pl
sklep@traveler.com.pl
 Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, narty, przewodniki,
 mapy i literatura.
 Warszawa
 ul. Grójecka 46/50
 tel. 022-668-66-08
 Warszawa - K1
 ul. Kaliska 8/10
 tel. 022-822-64-81
 Warszawa - K2
 ul. Kaliska 8/10
 tel. 022-822-54-87



EXTREME SPORT - Zakopane do 7%
www.extreme-z-ne.pl
 604451660@erant.pl
 Zakopane
 ul. Krupówki 36
 tel.: 018-2062999



POLAR SPORT do 7%
www.polarsport.pl
 Sklep górski POLAR SPORT oferuje duży wy-
 bór odzieży i sprzętu do turystyki wspinaczkowej, alpinizmu, skitoringu.
 Najlepsze marki, konkurencyjne ceny, częste promocje.
 Zapraszamy na www.polarsport.pl i do naszego sklepu przy ul. Siennej 15
 w Krakowie.

www.polarsport.pl

Wszystkie zniżki za okazaniem legitymacji
 z opłaconymi składkami za bieżący rok.

Wstęp do KW Warszawa
Zapisz się przez internet

www.kw.warszawa.pl

